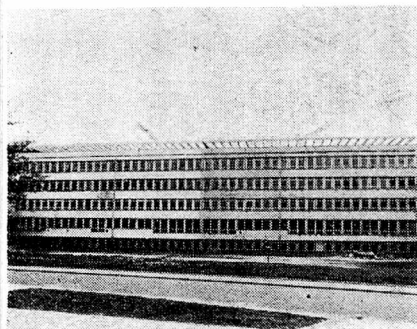
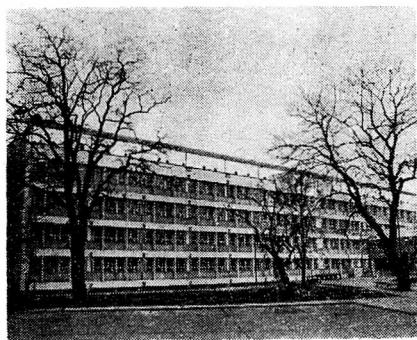


Σ 6-89-
1977/78

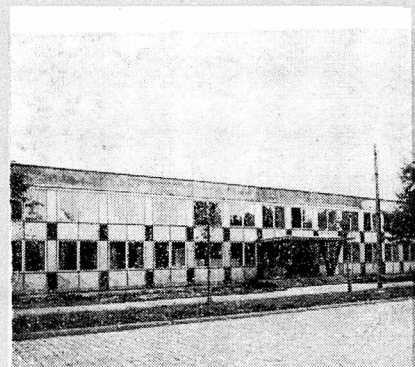
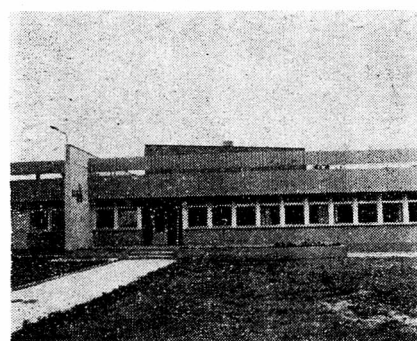
PROBLEMY

MAGAZYN
PROBLEMOWO-
INFORMACYJNY
POLITECHNIKI
WROCŁAWSKIEJ

PERSPEKTYWA



ROZ BU DOWY



PARĘ LAT TEMU — W KRÓTKIM ARTYKULE — omawialiśmy realizowane i planowane na przyszłość inwestycje naszej uczelni. Wiadomą jest rzecz, że od rozbudowy bazy badawczej i dydaktycznej, obiektów socjalnych i rekreacyjnych zależna jest w dużej mierze jakość prowadzonych prac i dydaktyki, „jakość” naszego samopoczucia w murach uczelni. Stąd warto jest do tego tematu wrócić, by podsumować co zostało w ostatnich latach zrobione, jakie inwestycje są aktualnie prowadzone i jakie planuje się na najbliższe lata.

Przedtem jednak dwie uwagi. Godnym podkreślenia wydaje się charakter programu inwestycyjnego przyjętego przez kierownictwo uczelni. Program ten mianowicie ma charakter kompleksowy. Obok koniecznej rozbudowy obiektów badawczo-dydaktycznych przewiduje się nadzwyczaj intensywną rozbudowę obiektów socjalnych takich jak np. domy studenckie, stołówki, mieszkania co uwidoczniło się zwłaszcza w ostatnich latach, a także obiektów o charakterze rekreacyjnym takich jak hale sportowe i boiska, a także ośrodki wypoczynkowe.

Druga uwaga dotyczy pewnych spraw ogólniejszych. Wiadomą jest dla każdego rzecz, że w polityce inwestycyjnej kraju wprowadzono w ostatnim okresie istotne korekty, podyktowane m.in. możliwościami ekonomicznymi, zapleczem surowcowym i technicznym, jak i mocą przerobową przedsiębiorstw budowlanych. Wiadomą też jest rzecz, że jako priorytetowe zadanie przyjęto przyspieszenie budownictwa mieszkaniowego, co ogromną część tychże mocy

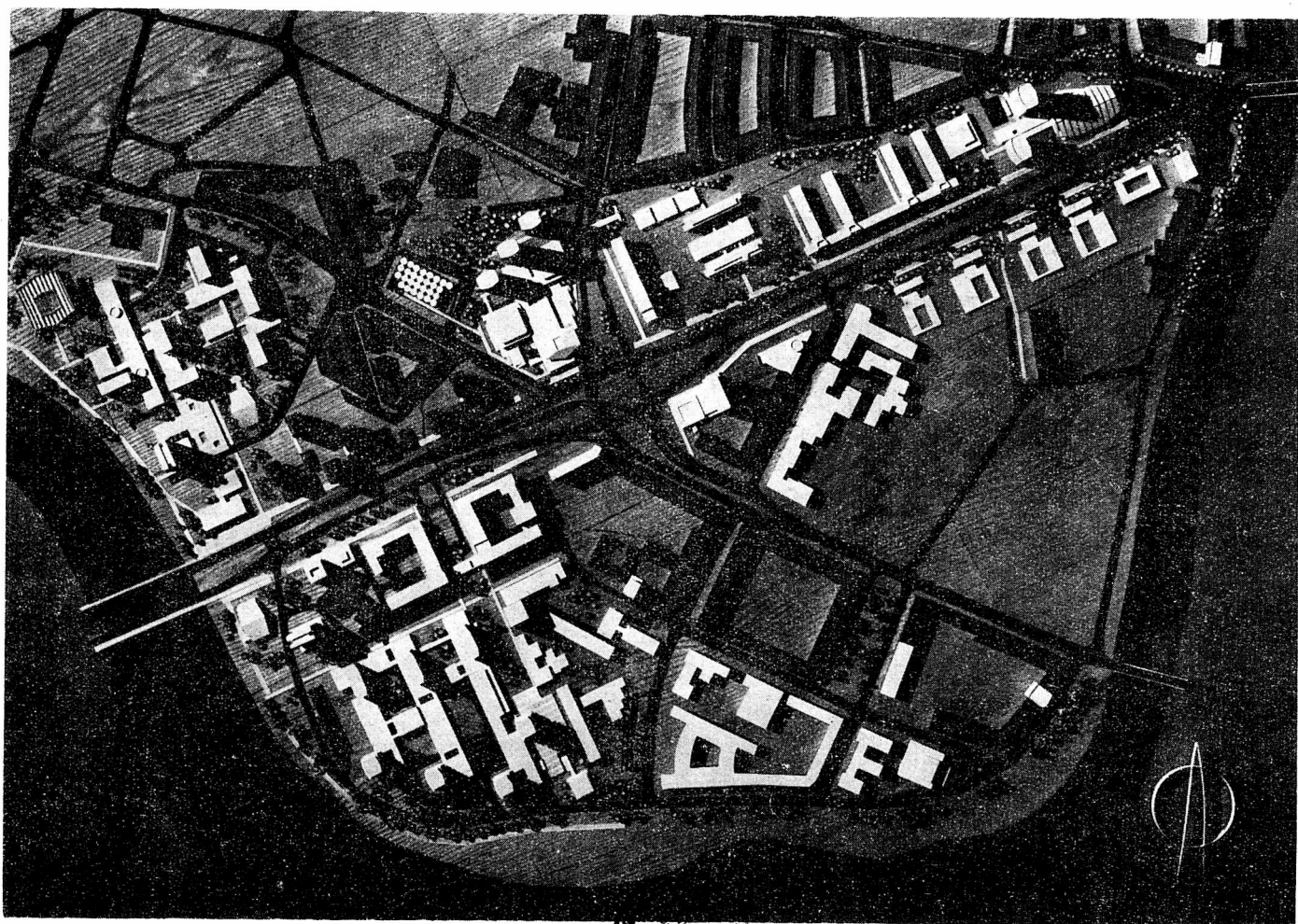
przerobowych angażuje. Stąd należy sobie zdawać sprawę, że wśród prowadzonych obecnie inwestycji Politechniki mogą nastąpić opóźnienia w oddaniu gotowych obiektów, lub też że niektóre planowane inwestycje mogą być rozpoczęte z opóźnieniem w stosunku do zakładanych terminów.

Po tych wstępnych uwagach przyjrzymy się temu co uczelnia w ostatnich trzech latach uzyskała.

Z obiektów naukowo-dydaktycznych I-26 i I-27 uzyskały halę technologiczną przy Wybrzeżu Wyspiańskiego o powierzchni 1836 m². Ukończono jednocześnie trzy domy studenckie przy ul. Wittiga, dysponujące powierzchnią 22 665 m² o 1 800 miejscach i hotel asystenta o powierzchni 8 780 m² na 408 miejsc. Oddana została do eksploatacji stołówka pracownicza przy ul. Smoluchowskiego o powierzchni 3 358 m² mogąca wydawać 2 200 obiadów. Ukończono także budowę domu mieszkalnego przy ul. Damrota, mającego na powierzchni 6 121 m² 106 mieszkań. Na koniec — Studium WF wzbogaciło się o trzy hale sportowe wraz z zapleczem socjalnym mające w sumie 1 006 m² powierzchni.

Przyjrzymy się z kolei temu co aktualnie jest realizowane. Dotyczy to trzynastu obiektów znajdujących się zresztą w różnych stadiach inwestycyjnych. Sześć z nich to obiekty naukowo-dydaktyczne, a mianowicie:

1. Instytut Budownictwa przy pl. Grunwaldzkim o powierzchni 6069 m²
2. Instytut Telekomunikacji i Akustyki przy pl. Grunwaldzkim o powierzchni 9166 m²



3. Hala przeróbki plastycznej metali przy ul. Łukasiewicza o powierzchni 3985 m²
4. Hala laboratoryjna Instytutu Inżynierii Chemicznej na Swojcu o powierzchni 1607 m²
5. Hala laboratoryjna ZANiD-u na Swojcu o powierzchni 1239 m²
6. Pawilon laboratoryjny Instytutu Inżynierii Ochrony Środowiska na Biskupinie

Oprócz tych obiektów w realizacji znajdują się:

1. Dwie hale magazynowe na Swojcu o powierzchni 1600 m²
2. Dwie wymiarowe hale sportowe Studium WF przy ul. Chełmońskiego o powierzchni 1477 m²
3. Przedszkole przy ul. Tramwajowej o powierzchni 938 m² i 120 miejscach
4. Poliklinika dla pracowników Politechniki przy ul. Janiszewskiego o powierzchni 2390 m²
5. Dom studencki wraz z przychodnią przy ul. Wittiga o powierzchni 8416 m² na 540 miejsc
6. Budynek mieszkalny dla pracowników przy ul. Łaciarskiej
7. Dom wypoczynkowy w Szklarskiej Porębie o powierzchni 2309 m² na 85 miejsc.

Ponieważ zgodnie z tym co uprzednio zostało napisane, w planowanych inwestycjach mogą nastąpić zmiany, zarówno w terminie realizacji jak i kubaturze obiektów, ograniczymy się tutaj tylko do zasygnalizowania, jakie obiekty mają powstać w przyszłości.

Są to:

1. Instytut Technologii Tworzyw Sztucznych przy Wyb. Wypiańskiego

2. Instytut Chemii Nieorganicznej i Metalurgii Pierwiastków Rzadkich przy pl. Grunwaldzkim
3. Instytut Techniki Ciepłej i Mechaniki Płynów przy pl. Grunwaldzkim
4. Instytut Materiałoznawstwa i Mechaniki Technicznej przy ul. Smoluchowskiego
5. Pawilon laboratoryjny dla Instytutu Energoelektryki przy ul. Chełmońskiego
6. Pawilon dla Instytutu Matematyki przy Wyb. Wypiańskiego
7. Hale warsztatowe dla „Hydromech-u” w Kowarach
8. 2 magazyny centralne na Swojcu
9. 2 domy studenckie po 800 miejsc
10. Stołówka studencka na 2 200 posiłków w pom. klubowym przy ul. Wittiga
11. Basen pływacki dla Studium WF przy ul. Chełmońskiego
12. Dom Młodego Naukowca przy ul. Olszewskiego
13. Dom rotacyjny dla młodych małżeństw na Biskupinie
14. Ośrodek Wypoczynkowy w Ustce
15. Ośrodek Wypoczynkowy dla studentów
16. Obiekt Wypoczynkowy w Kliczkowie dla pracowników

Oczywiście nie są to zamierzenia na rok lub dwa, pokazują one jednak perspektywę rozwoju uczelni w tworzeniu jak najlepszych warunków pracy, nauki, wypoczynku, a więc tych elementów, które składają się na pojęcie zwane jakością życia.

Wacław
Mejbaum

Wznieśmy ptajenicy po morzu ptajenicy



Czas życia ludzkiego wielorako rozgałęzia się i zawęża. Węzłami drzewa czasu są poważne wydarzenia, reorganizacje i trzęsienia ziemi. O osobliwościach tej globalnej struktury czasu napisano już tomy, ja także dołączyłem do owej biblioteki nielekką cegielkę. Można by rzecz jasna badania globalnych własności czasu kontynuować, strach jeno bierze, gdy pomyśleć o kosztach takiego przedsięwzięcia. Koszty badania czasu rosną wykładniczo z upływem tegoż, ponadto na każdym węźle podskakują niepomierne i nieprzystojne. Dowiódł tego niedawno profesor Z., rezygnując zarazem z lubyh mu ongiś projektów penetracji terminalnych węzłów czasu.

Skoro zgłębienie globalnej struktury czasu wypada za drogo, zajmijmy się doraźnie pewnymi lokalnymi osobliwościami tej struktury. Należą tu przede wszystkim tak zwane przerwy w życiorysie. Zbadanie typowej przerwy nie jest nadmiernie kosztowne, w wypadku docenta koszt nie przekracza 175 zł, a więc cenę pół litra trzydziestoprocentowej wody (sprzedawanej ostatnio pod mylącą nazwą spirytusu).

Sprecyzujmy temat naszej analizy. Nie będziemy brać pod uwagę trywialnego rodzaju przerw, w których wpływ czasu w ogóle ustaje, określanych zazwyczaj nazwami „snu” lub „narkozy”. Nie interesują nas również luki pamięciowe, powodowane przez naturalną słabość organizmu. W tym ostatnim wypadku denat po prostu nie pamięta, co działał lub co mu działano w jakimś okresie czasu, korzystając jednak z informacji przygodnych świadków może z łatwością działania te zrekonstruować. W wyniku rekonstrukcji pozór przerwy w życiorysie zanika, zapomniany okres daje się harmonijnie wkomponować w odpowiednią lukę w czasie. Zdarzają się jednak przerwy w życiorysie, w których ujawnia się jakiś istotnie nowy fragment rzeczywistości, czasem groźny, czasem zabawny. Zawartość przerwy jest dostępna w pamięci, jeżeli niekompletnie, to brakujących szczegółów w żaden sposób nie udaje się odtworzyć. Odnosi się wrażenie, że owa niekompletność nie jest powodowana złym działaniem pamięci, lecz stanowi wewnętrzną cechę rzeczywistości przerwy. Można postawić hipotezę, że tak opisywana przerwa w życiorysie przenosi człowieka na inną gałąź czasu, współwieloczną z gałęzią, na której gnieździł się uprzednio. A oto stosowny przykład.

Odbywa się dłuższe spotkanie towarzyskie. Ozdobą lokalu jest stary zegar z kukułką, w właściwych chwilach kukułka czyni swoją powinność obwieszczając upływ czasu globalnego. Rano gospodarz lokalu rejestruje niekorzystną zmianę: otóż zegar wisi nadal, brak w nim jednak kukułki. Owszem, w odpowiednich momentach rozchylają się drzwiczki w górnej części zegara, zamiast kukułki wyskakuje jednak tylko dziwnie goła sprężyna. Zostało tylko (w pamięci) pojęcie kukułki. Pojście to wszelako — jakby słusznie zauważył Althusser — nie kuka.

Oczywiście rzecz można wytłumaczyć trywialnie. Towarzystwo się spiło i jakiś uczonec, porażony niskoprocentowym H_2O , wyrwał ptaka z gniazda. Występek brzydki, wręcz chuligański, ale w końcu nie takie rzeczy w nauce się dzieją. Pamiętamy wszyscy historię jak pewien laureat Nobla wyrwał

koledze zęb mądrości, na trzeźwo i bez znieczulenia.

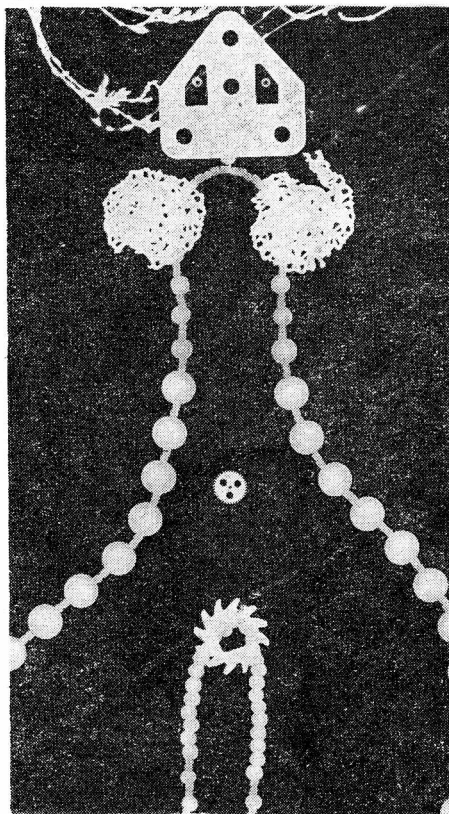
Tłumaczenie powyższe nie wytrzyma jednak żadnej próby poważnej krytyki. Po pierwsze nikt się nie spił. Po drugie — można ewentualnie zrozumieć, że uczonec zląkomi się na cudzy zęb mądrości, nie sposób natomiast pojąć po co mu cudza kukułka bez zegara. Po trzecie: w jaki sposób w przytomności liczego towarzystwa wyrwać kukułkę nie budząc niczyjego zdziwienia? Po czwarte wreszcie rozmowa była o kwarkach, a jak fizyk zacznie o kwarkach, to mu nie kukułki w głowie.

Zweryfikowano też starannie hipotezę, że kukułka znudzona kwarkami sama zerwała się z uwięzi i poleciała poszukać jakiegoś kukuła. Hipoteza ta, inspirowana przez panseksualizm Freuda, również nie budzi zaufania. Szkopuł w tym, że jakkolwiek wynudzone, drewniane kukułki nie latają.

W tych okolicznościach pozostaje przyjąć rozwiązanie najprostsze. Gdzieś opodal nas wije się druga nitka czasu. Są tam tacy sami uczeni, takie same kwarki, oraz bardzo podobne zegary: te ostatnie jednak pozbawione są kukułek. W czasie referowanego przyjęcia towarzystwo przeskoczyło z nitki na nitkę, kukułka, jako nielatająca, rzecz jasna została na miejscu. I to by kończyło sprawę.

Dokładniejszy wykład zagadnienia przerw w życiorysie daje jak wiadomo teoria przepływów międzygałęziowych. Będzie jeszcze okazja wrócić do tej pasjonującej problematyki. ■■

Fot. M. STANIELEWICZ



EKSPORTOWY

Marek J. Szewczyk

9 MARCA. WCZESNY RANEK. O wiele za wcześnie jak na studentów przystało budzik swoim terkotem oznajmiał w wielu mieszkaniach czas pobudki.

Czwarta dziesiąta. Na Dworcu Głównym, tam pod zegarem, gdzie zwykły umawiać się wszystkie grupy zjawiały się w komplecie. Waldek i kilku innych pojechali wcześniej, nocnym. Naiwni myślą, że będą dużo wcześniej niż Odra na warszawskim Centralnym, że zdążą przed naszym przyjazdem wykupić te kilka promes przyznanych przez ZG. W efekcie razem idziemy do banku, tam koło Domu Chłopa. Zakupujemy normę i promesy. Strażnicy podejrzliwym wzrokiem lustrują nasze bagaże. Tego tu jeszcze nie było. Nesesery, walizki, spiwory. Czyżby zorganizowana akcja — pytają ich oczy. A to tylko *Teatr Mimim GEST* wyjeżdża na kolejne, zagraniczne tournée. Tym razem Szwajcaria i Włochy.

Godzina 12,10. „Na pokładzie samolotu Polskich Linii Lotniczych wita państwa kapitan...”. Za iluminatorem deszcz, chłód, błyszczący wodą pas startowy.

14,10 — Zurich wita nas słońcem. Lotnisko w Kloten jak zawsze ruchliwe, czyste. Tylko te wykopy przed Portem Lotniczym... To nic, że estetycznie ogrodzone plastikowym płotem, ale jednak nie współgrają z tą niemalże do przesady perfekcją. Później, gdy będziemy wyjeżdżać ktoś z grupy powie, że brakuje Szwajcarii, by trawę od czasu do czasu malować na zielono i przyznam, wiele racji jest w tym spostrzeżeniu. Ale przecież nie to jest najważniejsze. Dwa dni muszą wystarczyć na przygotowanie do spektaklu. Przebudowa sceny, widowni, ogólna adaptacja pomieszczenia dla własnych potrzeb. Jeszcze tylko drobna „tapeta” miasta własnymi plakatami i można zaczynać.

✱

Sala pełna. *Kammertheater Stok's*, to zaadaptowana do celów teatralnych piwnica, która kiedyś świetnie spełniała chyba rolę miejsca leżakowania win. Ale wentylacja jest, ale światła są, ale publiczność jest i to ta z grupy bardziej wyrobionych i wymagających. „Psy” podobają się. Wiadomo jak Stok „sprawadza” coś z zagranicy to musi być dobre. Są okłaski, jest pospektaklowa dyskusja a w niej słowa podziwu. Są pytania o warsztat, możliwości teatru, finanse. Podobnie jest w sobotę, może nawet bardziej żywo. Janusz tłumaczy, że naprawdę są teatrem studenckim, że są grupą nieprofesjonalną, że próbują wnieść coś nowego w „robioną” przez siebie sztukę.

Zbigniew Stok — właściciel *Kammertheater* początkowo obawiał się, że 50 minut to zbyt mało jak na normalny bilet za 12 SFr. Z zakłopotania wy-



bawili go sami widzowie. „Bez dłużyzn, ekspresyjne, pełne dobrej gry aktorskiej widowisko” — formułowali swoje sądy szwajcarscy widzowie. Pantomima w wykonaniu *Gestu* była czymś innym, niż ta do której przywykli, niż ta którą prezentują rodzime grupy, była bardziej dojrzała — mówili. „Psy” były dla niektórych także częścią czegoś oryginalnego, polskiego, rodzinnego. Dotyczy to głównie przybyłej w piątek zurychskiej grupy polonijnej. Niektórzy z nich czuli się dumni, że Szwajcarom podoba się ta namiastka ich kraju.

A później była długa, dwudziestokilkugodzinna podróż przez Alpy, Apeniny, wzdłuż Morza Śródziemnego. Była także przeprawa promem i w dali Etna, dużo dojrzewających pomarańczy.

Festiwal *Incontroazione 78*, to zupełnie co innego niż ogólnie przyjęte przez nas wzorce określone terminem: festiwal. Dla określenia tego co działo się od 8 marca do 9 kwietnia w *Circo Martini* i innych obiektach Palermo bardziej adekwatne byłoby słowo: przegląd. Nie ma tu bowiem nagród, nie ma zatem jurorów. Jedynym wyróżnieniem jest zadowolenie publiczności, ona jest także jedynym ale jakże wymagającym jurorem.

Zjeżdżają zatem młode teatry z całego świata i prezentują swój program. Później dyskutują na zaaranżowanych spotkaniach o warsztacie, możliwościach.

W Palermo jest także okazja do nawiązania nowych kontaktów, otrzymania ciekawych propozycji. Np. *Gest* miał możliwość niemalże wprost z Palermo jechać do Argentyny, niestety mieliśmy już rezerwację biletów na samolot LOT-u z Rzymu do Warszawy, ale być może niebawem...

„I cani” co naszemu Czytelnikowi bardziej znane jest jako PSY zrobili i tu furorę. W tym miejscu warto nadmienić, że tegoroczny Festiwal miał nieco inną formułę niż w latach ubiegłych. Został podzielony na trzy etapy: tzw. „teatru politykującego”, w którym konfrontowały swój dorobek teatry południa i północy Włoch, drugi poświęcony twórczości Michela de Ghelderode i trzeci teatrowi w ogóle. Na uwagę zasługuje zwłaszcza drugi etap, w którym to występował *Teatr Mimim GEST*.

Tuż przed wyjazdem z Palermo rozmawiałem z Beno Mazzone leaderem

teatru *Libero* działającego w tym mieście, a jednocześnie szefem Festiwalu.

— Widziałem we Wrocławiu *Gest* — zwierzył mi się wówczas — i wtedy zapragnąłem zobaczyć go na „swoim” podwórku. Widziałem właśnie „PSY”, zatem de Ghelderode. Zacząłem szukać teatry, które też wystawiają na odpowiednim poziomie teatralnym tego autora. Natrafiłem na: *Atelier du spectacle* z Brukseli, *Teatro autonomo di Roma*... Udało mi się nakłonić kilka grup rodzimych, by poświęcili się temu pisarzowi. Udało się. Drugi etap *Incontroazione 78* poświęcono temu autorowi, a trzeba przyznać, że głównie zdecydował o takim podziale *Gest*, zdecydował rzecz jasna, nie wiedząc o tym. Do słów Bena należałoby dołączyć całą treść dyskusji, która de facto poświęcona została wielkiemu pisarzowi oraz *Gestowi*. Przypomniał mi się wówczas zarzut stawiany przez niektórych naszych „znawców” teatru, jakoby „PSY” były tym tzw. produktem ostatecznym teatru. Nie spotkałem się w Polsce z sytuacją by „PSY” *Gestu* grane były przy niewypełnionej widowni. Dyskusja w Palermo utwierdziła mnie w przekonaniu że nie ilość premier, a jakość wystawianej sztuki i zainteresowanie nią winny być oceną pracy teatru przez tzw. „czynniki zwierzchnie”. Przecież nie winą aktora jest, że nie lubi on zestawień i całej tej rozrastającej się ostatecznie w zastraszającym tempie biurokratycznej sprawozdawczości. Znałe są bowiem teatry, w których aktorzy zmieniają się, zmieniają reżyserzy, a sztuka pozostaje ta sama. W tej karuzeli teatralnej liczy się bowiem to co widz akceptuje, a „PSY” zostały zaakceptowane na wielu scenach teatralnych nie tylko kraju ale i Europy.

Ciepły wiatr wiał od morza, kiedy po ostatnim spektaklu popijaliśmy wino na tarasie hotelu „Moderno” przy głównej ulicy Palermo Via Roma. Komunikat radiowy podawał kolejną informację o losach Moro, a my byliśmy myślami już w Rzymie, może niektórzy nawet i w Polsce. I choć każdy z nas starał się ukryć tę swoją „myślową wędrówkę w ciemną dal” nastrojów podniecenia unosił się w powietrzu. Janusz coś wspominał o kwietniowym spektaklu w Domku Romańskim, Waldek zbierał siły na Rzym, Monika gdzieś w czyszy pokoju szukała w swoim notesie rzymskich numerów telefonicznych. Ubywało wina w dwulitrowych butelkach (każda po 900 lirów, to trochę więcej niż dolar), ubywało czasu przeznaczanego na Sycylię. Jeszcze w niedzielę Mondello, najstarsza część Palermo i po południu pociąg wiozący nas znów na kontynent.

✱

Obejrzyć Wieczne Miasto w trzy dni to szaleństwo — pisze jeden z angielskich przewodników po Włoszech. My mieliśmy zaledwie 36 godzin na to historię i legendami okryte miejsce. Spotkanie z uczestnikiem „warsztatów” Royem, Koloseum, Watykan, hotel, lotnisko i spotkanie ze znajomymi na warszawskim Okęcu. Znow w kraju. Chłód Warszawy jest jakiś przyjemny, jakiś bardziej swojski niż ciepło Italii. Nawet te drewniane, najeżone szpikulcami zadziórów barierki ograniczające miejsce prac ziemnych nie drażnią. Siadamy do autokaru i za kilka godzin będziemy w grodzie Piastów.

Podobno dużo zmieniło się przez te dwa tygodnie.



W PRACOWNIACH NASZYCH UCZONYCH

kompatybilność i anteny



Fot. Z. TRZCIŃSKI

Nieczęsto się zdarza by uczony miał okazję konfrontować efekty swej pracy prawie bezpośrednio po zakończeniu badań w pracowni. Dotyczy to zwłaszcza przedsięwzięć zakrojonych na szeroką skalę, w których okres między pomysłem a wdrożeniem trwa kilka, a czasem kilkanaście lat.

Naukowcy z Instytutu Telekomunikacji i Akustyki Politechniki Wrocławskiej mogą mówić o pewnego rodzaju szczęściu. Ich badania, których celem jest usprawnienie odbioru radiowo-telewizyjnego prawie natychmiast przybierają konkretną formę nowych masztów, sieci nadawczych itp. Cała polska sieć telewizyjna i radiofoniczna bazuje na pracach prowadzonych w ITA. Dziełem uczonych tego Instytutu jest antena warszawskiej radiostacji centralnej — najwyższa budowla inżynierska na świecie oraz szereg anten o oryginalnych i ciekawych rozwiązaniach.

Jednym z najwybitniejszych specjalistów w kraju w dziedzinie anten i radiotechniki nadawczej, którego prace w dużym stopniu przyczyniły się do tego, że słuchając radia, czy oglądając telewizję, coraz mniej narzekamy na usterki jest doc. Daniel J. BEM. Jego też poprosiliśmy dziś o rozmowę.

S.: *Panie Docencie, zaledwie cztery lata minęły od rozmowy, którą „Sigma” przeprowadziła z Panem w związku z budową najwyższego w świecie masztu radiowego, a już chodzą słuchy, że „stawia” pan nowy maszt z anteną o unikalnej i niespotykanej dotąd konstrukcji — tym razem dla rozgłośni wrocławskiej. Aż trudno się powstrzymać od pytania „jak Pan to robi?”.*

Doc. Bem: Pytanie to byłoby rzeczywiście w pełni uzasadnione, gdyby maszt ten był stawiany przez nas. Takie zadanie może stać się jednak dziełem wyspecjalizowanych przedsiębiorstw konstrukcyjno-montażowych. Nasz udział w tej sprawie to opracowanie nowej anteny, całkowicie oryginalnej, z możliwością kształtowania właściwości kierunkowego promieniowania.

Stanowi ona rodzaj masztu, na którym zawieszono są 4 klatki z lin miedzianych. Dzięki odpowiedniemu zasilaniu klatek można zapewnić optymalne warunki odbioru. Dodatkową zaletą tej konstrukcji jest wyeliminowanie izolatorów stanowiących wsporniki w masztach konwencjonalnych.

Prace badawcze i teoretyczne dotyczące anteny klatkowej rozpoczęły się przed kilkoma laty. Obecnie realizowany jest etap wdrożeniowy, w którym wykonujemy nadzór autorski. Weźmiemy też udział w końcowej fazie, tego przedsięwzięcia przy uruchamianiu anteny. Nie jest to jednak w tej chwili główny nurt naszych zainteresowań.

S.: *Jaka zatem dziedzina jest głównym przedmiotem obecnych Pana badań?*

Doc. Bem: Zanim odpowiem na to pytanie, warto powiedzieć choć parę słów o sprawach organizacyjnych. Zespół badawczy, którym w tej chwili kieruję, opiera się głównie na doktorantach. Mam 5-ciu doktorantów i jestem bardzo zadowolony ze współpracy z tymi młodymi ludźmi. Zajmujemy się wspólnie modelami symulacyjnymi systemów radiokomunikacyjnych dla potrzeb kompatybilności elektromagnetycznej.

Liczba systemów radiowych, które są aktualnie na świecie eksploatowane jest ogromna i stale wzrasta. Wszystkie te systemy korzystają z jednego ośrodka, w którym rozchodzą się fale elektromagnetyczne. Istnieje w tej chwili światowa tendencja, by ośrodek ten potraktować jako środowisko elektromagnetyczne i uznać go za takie samo dobro jak woda czy powietrze — dobro, które w naszym wspólnym interesie powinno podlegać ochronie. Należy doprowadzić do tego, by różne systemy radiokomunikacyjne nie zakłócały się wzajemnie. Nad rozwiązaniem tego zagadnienia pracuje wielu specjalistów w wielu krajach. My zajmujemy się bardzo wąskim jego fragmentem, a mianowicie modelowaniem cyfrowym pewnych systemów radiokomunikacyjnych.

To co w tej chwili robimy, to model uzupełniającej sieci telewizyjnej w rejonie podgórskim. W rejonie takim odbiór programów ze stacji sieci głównej jest w wielu miejscach utrudniony. Poprawę może zapewnić budowa stacji nadawczych małej mocy. Jest to zagadnienie dosyć złożone. Trzeba brać pod uwagę fakt, że stacje retransmisyjne mogą się wzajemnie zakłócać, zakłócać stację sieci głównej i być przez nie zakłócanie. Jedynym rozsądnym sposobem rozwiązania tego problemu jest opracowanie modelu symulacyjnego

go sieci stacji, zbadanie na tym modelu wzajemnego oddziaływania różnych stacji i dobór optymalnego modelu sieci. Zagadnienie to jest przedmiotem dwóch prac doktorskich.

S.: *Jakie problemy warsztatowe łączą się z rozwiązywaniem tego zagadnienia?*

Doc. Bem: Podstawą w rozwiązywaniu tego problemu jest opracowanie modelu propagacyjnego. Na warunki propagacji fali od stacji nadawczej do stacji odbiorczej wpływa w decydujący sposób ukształtowanie terenu między tymi stacjami. Metody obliczania rozkładu natężenia pola od stacji nadawczej w warunkach terenów podgórskich są bardzo kłopotliwe i konieczne staje się korzystanie z metod półempirycznych. Do obliczenia rozkładu natężenia pola niezbędna jest znajomość profilu trasy tj. rozkładu wysokości wzdłuż trasy.

Przy konstruowaniu modelu symulacyjnego konieczne jest opracowanie numerycznej mapy wysokości dla całego kraju. Jest to zadanie ogromne i to spowodowało, że w zespole naszym ograniczyliśmy się do opracowania dwóch koncepcji takiej mapy przydatnej do obliczeń propagacyjnych. Sama mapa wykonana zostanie przez Instytut Łączności oraz Instytut Geofizyki i Kartografii.

Drugi problem to sprawa storowania odpowiednich anten kierunkowych. Antena musi mieć charakterystykę promieniowania dostosowaną do terenu, który ma obsłużyć. W pamięci maszyny musi się znaleźć mapa miejscowości obsługiwanej rejonu, a także konieczne staje się posiadanie katalogu typowych anten.

Opracowaliśmy katalog typowych charakterystyk promieniowania tak, by nasz model na podstawie odczytanego z mapy kształtu miejscowości dobierał właściwą charakterystykę promieniowania anteny. W wyniku działania naszego modelu symulacyjnego otrzymaliśmy w pierwszym etapie wykaz obszarów lukowych (nie obsługiwanych przez stację sieci głównej), a następnie wariantowe propozycje wypełnienia tych obszarów lukowych za pomocą sieci stacji uzupełniających. Maszyna może przy tym od razu dokonać wyboru odpowiedniego wariantu wg zastosowanego kryterium optymalizacyjnego.

S.: *Na czym taka optymalizacja polega?*

Doc. Bem: Pierwsze pytanie jakie intuicyjnie nasuwa się w związku z tą sprawą to jakie i ile stacji budować. Czy budować mało większych stacji, czy też więcej stacji o małej mocy. Na pytanie to trudno jest odpowiedzieć jednoznacznie. Kierujemy się przy tym kilkoma strategiami.

Jeżeli będziemy rozpatrywać sieć stacji jako system zamknięty, oddziaływający ze środowiskiem elektromagnetycznym jako podstawę przyjmujemy kryterium najmniejszego zakłócania tego środowiska, to dążyć powinniśmy do minimalizacji sumy mocy wypromienianej przez wszystkie nadajniki sieci. Taka strategia nosi nazwę kompatybilności ze środowiskiem elektromagnetycznym i wynika z niej, że liczba stacji powinna być możliwie duża.

Z drugiej strony każda stacja zajmuje określone pasmo częstotliwości, a zakres częstotliwości przewidzianych dla telewizji jest ograniczony. Poszczególne kanały mogą być powtórzone tylko przy spełnieniu określonych warunków, a to

ogranicza ilość stacji w danym terenie. Ze względu na kryterium kompatybilności wewnątrz systemu, liczby stacji w danym terenie nie można więc zwiększać w sposób nieograniczony. Jeszcze innym kryterium optymalizacji jest kryterium ekonomiczne. Koszt stacji w niewielkim stopniu zależy od jej mocy. Budowa dużej liczby stacji małej mocy kosztuje znacznie więcej i większe są też koszty ich eksploatacji. Jak z tego wynika w każdym konkretnym przypadku trzeba znaleźć rozsądny kompromis. Model symulacyjny jest tu szczególnie dogodny ponieważ pozwala na łatwe umieszczenie w sieci nowych stacji, zmianę parametrów stacji itp. przy minimalnych kosztach — bo tylko kosztach eksploatacji maszyny cyfrowej.

S.: *Wspomniał Pan w swej poprzedniej wypowiedzi, że niezmiennie duży wpływ na jakość odbioru wywierają anteny. Czy w Pana zespole opracowywane są obecnie nowe typy anten, czy też rozwiązania bazują na antenach już znanych i stosowanych?*

Doc. Bem: Swego czasu bardzo dużo pracy poświęciliśmy antenom telewizyjnym. Prace zapoczątkowane przez prof. Tomankiewicza, które potem kontynuowałem doprowadziły do opracowania metody projektowania anten telewizyjnych, opracowania kilku prototypów anten i elementów antenowych. Obecnie prace nad antenami kontynuowane są w ramach zagadnienia kompatybilności elektromagnetycznej. Anteny odgrywają w tym przypadku ważną rolę, ponieważ dzięki swoim właściwościom kierunkowego promieniowania pozwalają zmniejszyć, a w pewnych przypadkach nawet uniknąć zakłócania się różnych systemów telekomunikacyjnych.

Ostatnio opracowany jest w ramach jednej z prac doktorskich nowy typ anteny o polaryzacji kołowej. Dotych-

czas w Polsce do emisji programów w zakresie fal ultrakrótkich stosuje się przede wszystkim polaryzację poziomą. Bardzo wielu odbiorców tych programów korzysta z odbiorników wyposażonych w anteny prętowe o polaryzacji raczej pionowej. Dotyczy to aparatów przenośnych i odbiorników samochodowych.

Warunki odbioru za pomocą anten są utrudnione zwłaszcza w obszarach wysokozurbanizowanych, co jest szczególnie uciążliwe dla posiadaczy samochodów.

Na świecie, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych od kilku lat prowadzone są eksperymenty z nadawaniem w zakresie tych częstotliwości, sygnałów o polaryzacji kołowej, która to polaryzacja nie pogarszając warunków odbioru odbiorcom stacjonarnym, stwarza równocześnie lepsze warunki odbioru dla odbiorników przenośnych. Planujemy w związku z tym przeprowadzić również w kraju odpowiednie eksperymenty. Korzystamy przy tym z daleko idącej pomocy Wrocławskiego Przedsiębiorstwa Stacje Radiowe i Telewizyjne, które przygotowało jeden ze swoich obiektów i użyczyło nam wozów oraz sprzętu pomiarowego. Pomiary są w tej chwili w toku. Mamy już pierwsze bardzo obiecujące wyniki.

Myślimy również o rozszerzeniu tego eksperymentu na nadawanie sygnałów telewizyjnych. Złazszcza w rejonach podgórskich, gdzie wskutek odbicia sygnału od przeszkód terenowych na ekranie odbiornika pojawiają się różnego rodzaju „zjawy” i „duchy”, eksperyment z polaryzacją kołową powinien przyczynić się do znacznej poprawy odbioru programu telewizyjnego.

S.: *Zyczymy wobec tego dalszych owocnych badań i dziękujemy za rozmowę.*

Rozmawiała:

MAŁGORZATA KRAMKOWSKA

Fot. M. GROTEWSKI



Wielkie koncerny japońskie, takie jak MITSUI czy MITSUBISHI w 50% żyją z pośrednictwa. Kraj „X” poszukuje towaru, którego kraj „Y” nie ma. Japończycy wiedzą o tym pierwsi. Posiadają znakomity wywiad firmowy prowadzony przez przedstawicieli biur technicznych itp.*).

W świecie, w którym o sile międzynarodowej pozycji państwa decyduje przede wszystkim jego potencjał techniczny i gospodarczy, zainteresowanie firm konkurencyjnych coraz bardziej budzi zdobywanie wiadomości o zasobach surowcowych, możliwościach produkcyjnych, stopniu wyszkolenia kadr fachowych, słowem tego wszystkiego co składa się na potencjał techniczno-gospodarczy przedsiębiorstwa, a nawet państwa.

Przystępując do omówienia wywiadu firmowego, należy uświadomić sobie fakt, że jest to działalność bardzo rozwinięta we współczesnej bezwzględnej konkurencji.

Zadania wywiadu firmowego

Informacje uzyskane o konkurentach na drodze wywiadu firmowego umożliwiają podejmowanie optymalnych decyzji ekonomicznych. Dlatego też przy składaniu oferty na budowę całych obiektów przemysłowych firmy kapitalistyczne przywiązują duże znaczenie do problemu rozeznania warunków ekonomicznych podobnych kontraktów ze strony innych firm. Czy wreszcie przy zakupie licencji i urządzeń produkcyjnych — na jakich warunkach ekonomicznych była udostępniona dana (lub podobna) licencja innej firmie, jakie występowały trudności w rozruchach technologicznych i eksploatacji, czy firma ma w ogóle doświadczenie w projektowaniu tego typu procesu technologicznego itp.

Wzrost kontaktów handlowych ze światem kapitalistycznym unaocnił nam działanie praw rynkowych. Towar, który chcemy zbyć na rynkach zagranicznych powinien być konkurencyjny pod względem poziomu technologicznego, waloarów użytkowych i ceny. Najsilniejszą manifestacją działania praw rynkowych jest nieubłagana walka konkurencyjna, przejawiająca się w „zazdrośnym” strzeżeniu własnych tajemnic badawczych, produkcyjnych i handlowych oraz w śledzeniu tego wszystkiego, co się dzieje w firmach konkurencyjnych. Popyt na tego rodzaju usługi jest tak wielki, że w niektórych krajach kapitalistycznych powstały dziesiątki prywatnych agencji wywiadowczych, realizujących określone zamówienia firm i wielkich organizacji gospodarczych.

Jacques Berger w książce pt. „Szpiegostwo przemysłowe” pisze, że w USA spośród 1358 ankietowanych wielkich firm, aż 1324 ma specjalne oddziały zajmujące się tylko i wyłącznie szpiegostwem gospodarczym, wymierzonym przeciwko głównym konkurentom.

Autor ten wyliczył, że łączna wartość „wykradzonych” tajemnic przemysłowych wynosi około 250 milionów dolarów. W wielu krajach istnieją tajne giełdy, na których sprzedaje się wykradzione przez wywiad gospodarczy pomysły i wyniki badań naukowych.

Wspomniany wyżej autor i inni głoszą tezę, że szpiegostwo gospodarcze było w przeszłości jednym z czynników rozwoju cywilizacji, ponieważ wykradanie tajemnic technologicznych przyspieszyło nadejście rewolucji przemysłowej. Nie wnikając bliżej w słuszność powyższej tezy należy stwierdzić, iż obecnie wywiad gospodarczy i firmowy urosł do rangi groźnej broni nie tylko w walce o przetrwanie, ale i osiąganie większych zysków przez poszczególne korporacje świata kapitalistycznego, odgrywa również coraz większą rolę polityczną w stosunkach międzynarodowych.

Przeciętny obywatel rzadko zdaje sobie sprawę, z tego, jak szeroki bywa wachlarz tematów, które mogą zainteresować współczesny wywiad firmowy. W zasadzie nie ma takiej dziedziny życia gospodarczego i naukowego, która nie byłaby przedmiotem zainteresowań tego wywiadu.

„Pokojuowe współistnienie” nie kładzie kresu współzawodnictwu między systemem kapitalistycznym i socjalistycznym, nie likwiduje ich klasowych przeciwieństw i nie zmienia praw rozwoju społecznego. Współzawodnictwo gospodarcze socjalizmu z kapitalizmem jest obecnie główną sferą walki klasowej na arenie międzynarodowej. Walka ta została przeniesiona w sferę ideologii, kultury i przede wszystkim w dziedzinę gospodarki.

Dywersonja ideologiczna i gospodarcza jest obecnie jedną z najistotniejszych form walki obliczonej na osłabienie krajów socjalistycznych. Wielkie znaczenie, jakie polityczne ośrodki świata kapitalistycznego przypisują walce gospodarczej, wynika z faktu, że gospodarka jest czynnikiem decydującym w budownictwie socjalistycznym w naszych krajach.

Warunkiem skutecznego rozwijania wszelkiego rodzaju dywersji jest oczywiście posiadanie o przeciwniku informacji, które wykorzystuje się do określonych posunięć gospodarczych, a także działań politycznych i propagandowych. Stąd w warunkach rywalizacji dwóch odmiennych systemów, zagadnienie zdobywania informacji nabrało szczególnego znaczenia.

Informacje o naszej gospodarce prze-

chwytywane przez wywiady państw lub koncernów kapitalistycznych, wykorzystywane są do różnych celów. Przede wszystkim stanowią podstawę do ustalenia taktyki działania niektórych państw zachodnich wobec krajów socjalistycznych.

Mamy na to wiele przykładów szczególnie w aktualnej sytuacji. Zaczęły się pojawiać teksty w prasie kapitalistycznej nawołujące rozwinięte państwa zachodnie do zahamowania transferu nowoczesnej myśli technicznej, najnowszej technologii i dorobku organizacyjnego, aby nie stworzyć sobie konkurencji**). Nie ulega najmniejszej wątpliwości, iż głosy nawołujące do przesuwania transferu technologii zmuszą nas do środków zaradczych.

Organizacja wywiadu firmowego

Według teoretyków wywiadu firmowego na Zachodzie, służby zajmujące się tym problemem powinny składać się z niewielkich jednostek, całkowicie niezależnych od pozostałych pionów przedsiębiorstwa, ale współpracujących ściśle z komórką bezpieczeństwa. Jednostka taka ma do spełnienia dwa zadania: jedno ofensywne, polegające na zaopatrzeniu dyrekcji w określone informacje dotyczące konkurencji oraz zadanie defensywne, polegające na zapobieganiu przeciekom tajemnic technologicznych i handlowych z własnej firmy do konkurentów.

Działalność jednostki wywiadu firmowego powinna obejmować wg nich następujące zakresy:

- operacje wynikające z przechwytnia (w prasie, w sprawozdaniu z podróży służbowej itp.) potencjalnie ważnych informacji, które wymagają szczególnego rozpracowania,
- realizację zadań specjalnych, nałożonych przez dyrektora odpowiedzialnego za wywiad,
- rozpracowanie podyktowane pilnymi i ważnymi problemami natury technologicznej lub handlowej, które wyłoniły się w przedsiębiorstwach,
- zabezpieczenie przed wywiadem obcym.

Katalogowanie zapotrzebowania na określone informacje stanowi punkt wyjściowy do działań zmierzających do wykorzystania wszelkich źródeł wywiadu firmowego.

W amerykańskim czasopiśmie „Chemical Engineering” z dnia 23 maja 1966 r. ukazała się np. klasyfikacja informacji o konkurentach, poczynając od metod legalnych, a kończąc na metodach coraz bardziej oddalonych od legalności:

1. Publikowane materiały, dokumenty oficjalne.
2. Wymuszone od pracowników konkurenta informacje bez żadnych trików.
3. Analizy rynku i raporty konsultantów.

4. Raporty finansowe oraz analizy pośredników.
5. Targi, wystawy oraz broszury konkurenta.
6. Analiza produktów konkurenta.
7. Raporty agentów handlowych.
8. Legalne rozmowy przy zatrudnieniu ludzi, którzy pracowali dla konkurenta.
9. Zamaskowane wypytywanie, „wyciąganie” od pracowników konkurenta podczas narad technicznych.
10. Bezpośrednia obserwacja w warunkach niejawnych.
11. Pozorne negocjacje z konkurentem o licencje.
12. Skaperowanie pracownika konkurenta dla uzyskania konkretnej umiejętności.
13. Nadużycie własności konkurenta.
14. Przekupienie dostawcy lub pracownika konkurenta.
15. „Uplaszowanie” swojego agenta na liście płac konkurenta.
16. Podśluchiwanie konkurentów (np. rozmów telefonicznych).
17. Kradzież planów, wzorów, dokumentów itp.
18. Szantaż i wymuszanie.

Z powyższego zestawienia tylko pierwsze siedem można zaliczyć do metod wywiadu firmowego, pozostałe zaś wchodzić raczej w sferę metod nielegalnych i szpiegostwa. Jakkolwiek klasyfikacja odnosi się do warunków panujących w świecie kapitalistycznym, to warto jednak się z nią zapoznać pod kątem roli współczesnego wywiadu firmowego.

Warto odnotować fakt, iż do źródła legalnego można zaliczyć m.in. czasopisma naukowo-techniczne, biuletyny wewnętrzne wielkich spółek akcyjnych, katalogi, książki telefoniczne, rejestry patentowe, analizy rynku itp.

Z wszelkich oficjalnych źródeł, specjaliści od wywiadu firmowego największe znaczenie przypisują codziennej prasie. Według teoretyka od szpiegostwa przemysłowego P. Hamiltona — 95% potrzebnych informacji można uzyskać przez dokładne studiowanie prasy światowej.

Burzliwy rozwój informacji

Szacunkowo ukazuje się na świecie przynajmniej 50 tys. czasopism technicznych, w tym większość miesięczników, a w niektórych dziedzinach jak np. w elektronice czy chemii, produkcja literatury fachowej ulega podwojeniu co 10 do 15 lat.

W związku z tym istnieje taki zalew informacji technicznej, że problemem jest nie brak informacji, lecz raczej trudność w odnalezieniu właściwego tematu i wyodrębnianiu go z lawiny informacji.

Oblicza się, że ilość czasopism naukowych w 2000 roku wzrośnie do 1 mln. Sam tylko prezydent USA otrzymuje codziennie wybór informacji, składający się z około jednego mln słów (3.300 stron maszynopisu).

Szczególnym i bardzo pożytecznym źródłem informacji mogą okazać się nawet ogłoszenia, zwłaszcza ogłoszenia oferujące pracę lub ogłoszenia przetargowe, dające pewien wgląd w potrzeby i plany rozwojowe określonej firmy.

Jak wiadomo, wywiad firmowy w rozwiniętych krajach kapitalistycznych powstał i doskonalił swoje formy przez dziesiątki lat. Natomiast u nas problem wywiadu firmowego jest zagadnieniem nowym i w związku z tym może o praktycznej roli tego zagadnienia dotychczas nikt nie pisał, nie mówiąc już o tym, że u nas nie ma ani jednego książkowego opracowania na temat omawianego problemu.

Na rynkach księgarskich Europy Zachodniej, a także w Stanach Zjednoczonych ukazuje się co roku nie tylko kilkaset kryminałów i powieści o tematyce szpiegowsko-sensacyjnej, lecz również kilkadziesiąt różnego typu opracowań i monografii poświęconych problemom szpiegostwa przemysłowego oraz firmowego.***).

Warto odnotować fakt, iż firmy kapitalistyczne — szczególnie koncerny przemysłowe — zatrudniają wysoko opłacanych, specjalnie przeszkolonych urzędników do spraw bezpieczeństwa. Na cele te koncerny nie szczędzą środków finansowych i za wszelką cenę chcą zdobyć jak najwięcej informacji o firmach konkurencyjnych.

WALDEMAR BUDZIŁO

*) Autor szerzej na ten temat pisze w miesięczniku naukowo-technicznym NOT „Mechanik” nr 2/78.

**) Jest to tzw. protekcjonizm handlowy, stosowany wobec krajów wspólnoty socjalistycznej. Omówienie tego zagadnienia nastąpi w odrębnym artykule.

***) Treść tych książek oraz ich cel omówione będą w specjalnym artykule.

Fot. Z. TRZCIŃSKI



Z AŁOŻENIE O NIEZMIENNICZOŚCI każe nam wierzyć, że przyroda „zachowywała się” w ten sam sposób przed wiekami jak i dziś, że — jak pisze Andrew G. van Melsen, *zasadnicze zachowanie się materii jest zawsze takie samo w tych samych warunkach*. Dzięki temu założeniu możemy dopiero zasadnie utrzymywać, że alizaryna istniała w smole pogazowej przed jej wydzielaniem, tlen w powietrzu przed jego otrzymaniem, a siła działająca między dwoma ciałami była wprost proporcjonalna do kwadratu odległości między nimi przed sformulowaniem przez Newtona prawa powszechnego ciążenia. Z tą samą rzeczywistością mieli do czynienia Galileusz, Newton i Einstein, te same gwiazdy i planety obserwowali Hiparch, Ptolemeusz i Kopernik, a tlenem oddychali Sędziwój, Pristley i Lavoisier. Dlaczego zatem dochodzili oni do zgoła innego obrazu świata, dlaczego są tak wielkie różnice w wynikach eksperymentów i obserwacji dokonywanych przez tych badaczy (pomijając udoskonalenia techniczne?). *Czy ludzie ci naprawdę, jak pisze Thomas S. Kuhn, widzieli różne rzeczy, kiedy patrzyli na ten sam rodzaj przedmiotów? Czy można w jakimś uprawionym sensie mówić, że prowadzili oni swe badania w różnych światach?* Albo więc założenie o niezmienniczości jest chybione, i każdy z wspomnianych uczonych pracował w innym świecie, albo pojawiły się czynniki powodujące konieczność odmiennego spojrzenia na rzeczywistość, innego jej przedstawienia; i choć rzeczywistość obiektywna była wciąż taka sama, to prezentowane obrazy rzeczywistości różniły się, nieraz znacznie, między sobą. Sięgnijmy po przykład.

Już starożytni Grecy — rozpoczynając dość tradycyjnie — widzieli ciężary swobodnie kołyszące się na linie czy łańcuchu aż do chwili osiągnięcia stanu spoczynku. Według Arystotelesa, dla którego ciała ważyły do zajęcia swego naturalnego miejsca, którym jest środek Wszechświata, a zarazem środek Ziemi, ciało kołyszące się miało po prostu trudności ze spadaniem. Ruch wahadłowy był ruchem wymuszonym; dzięki niemu ciało osiągało punkt najbliższy swemu naturalnemu miejscu. Dla Galileusza natomiast kołyszący się na linie ciężar był wahadłem, tj. ciałem, które odtwarzać mogło ten sam ruch niemal w nieskończoność. Ta m. in. własność wahadła pozwoliła mu wyprowadzić np. *jedyny kompletny i pełny dowód niezależności prędkości spadania od ciężaru oraz od stosunku między wysokością a prędkością końcową w ruchu po równi pochyłej*.

Opisy obserwacji Arystotelesa są równie ścisłe, jak opisy Galileusza, obaj byli równie genialnymi uczonymi. Opisy te jednak nie są takie same, wnioski z nich wyprowadzone są, z konieczności, odmienne. Z czego to wynika? Stwierdzenie, że niemożliwa jest czysta obserwacja, złudą możliwość stworzenia języka obserwacyjnego, zaczyna być właściwie banałem. Rozdzielenie terminów teoretycznych od obserwacyjnych jest w istocie rzeczy niemożliwe do przeprowadzenia. Każdy badacz stoi

INNE

ŚWIATY

Adam Drozdek

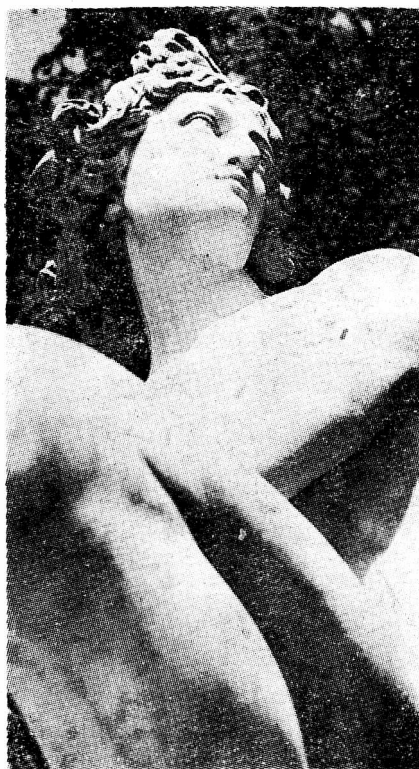
i stać musi, nawet nieświadomie, na gruncie jakiegoś systemu pojęć i twierdzeń, jest uwikłany w jakąś teoretyczną tradycję, która determinuje jego widzenie faktów i zdarzeń. A ponieważ nie sposób ogarnąć mnogości cech i zależności, wielości relacji i związków, wybierać trzeba tylko niektóre i to nie w sposób dowolny. Właśnie podstawa teoretyczna wskazuje na to, co wybrać trzeba, kanalizuje odpowiednio percepcję, każe wręcz nie dostrzegać rzeczy nieistotnych. Inaczej po prostu wygląda konceptualizacja zdarzeń i obiektów w zależności od tej podstawy. I tak fizyka Arystotelesowska każe obserwujące-

mu kołyszące się ciało, brać pod uwagę ciężar ciała, wysokość, na którą je podniesiono, czas potrzebny do osiągnięcia stanu spoczynku oraz opór ośrodka. Niemożliwe jest zatem, by mając te jedynie pojęcia do dyspozycji, dojść do sformułowanych przez Galileusza praw. Sam Galileusz natomiast uczył się analizy ruchu w kategoriach średniowiecznej teorii impetu. Teoria ta głosiła, iż ciało porusza się dzięki impetowi nadanemu mu przez inne, powodujące ruch ciało. Np. strzała leci dzięki impetowi nadanemu jej przez cięciwę; cięciwa jednak nie od razu powraca do stanu wyjściowego. Dzięki impetowi nadanemu jej przez rękę przemieszcza się wbrew oporowi swego napięcia. Napięcie odciąga cięciwę z powrotem, aż do odzyskania impetu w położeniu wyjściowym, który znów przemieszcza ją wbrew oporowi napięcia, etc. Analogicznie analizować można ruch kołyszącego się na linie ciężaru. Teoria impetu wskazywała więc, że ruch jest symetryczny i trwać może w nieskończoność. Poza tym Galileusz znał doświadczenia Archimedesesa wskazujące na to, że ośrodek nie odgrywa wielkiego znaczenia. Mając zatem na uwadze m. in. teorię impetu i prace Archimedesesa, Galileusz brał w wahadle pod uwagę jedynie ciężar, promień, przesunięcie kątowe i okres wahan, czyli te parametry, które występują w sformułowanych przez niego prawach. *Te same prawidłowości, które mogły nie istnieć dla arystotelika (i których istotnie przyroda nigdy jasno nie ujawnia), były konsekwencjami bezpośredniego doświadczenia dla kogoś, kto patrzył na kołyszący się kamień tak jak Galileusz*.

Zależnie zatem od podstawy teoretycznej odmiennie będzie się patrzeć na ten sam przedmiot badań, co innego w nim dostrzegać, różnie konstruować konceptualizację. I inaczej być nie może. *Pomiary, które trzeba wykonać, gdy chodzi o wahadło, nie są przydatne, gdy bada się utrudnione spadanie*. Ba, wręcz mogłyby przeszkodzić. Pewne parametry zatem nie są brane pod uwagę, nie są one dostrzegane. Arystotelik nie widział po prostu w kołyszącym się ciężarze okresu ani amplitudy, mimo tego, czemu zaprzeczć niepodobna, że wrażenia te padały na siatkówkę jego oka.

Korzystając z pożytecznego rozróżnienia dokonanego przez Louisa Althussera można powiedzieć, że choć i w czasach Arystotelesa, i w czasach Galileusza istniał ten sam przedmiot rzeczywisty, to istniały różne przedmioty poznania. I te ostatnie są właśnie tymi innymi światami, w obrębie których poruszają się badacze, które różnią uczonych różnych epok, szkół, tradycji teoretycznych. Badając jedną i tę samą przyrodę, tworzą inne światy, granice których opuścić najczęściej bardzo trudno. I choć z jednej strony może się zdawać, że jest to stan rzeczy niepożądany, to z drugiej jest on nieunikniony.

Fot. J. BACHRIJ



ADAM DROZDEK

Maciej Kałuszyński

MORALIA

Student bez kodeksu etycznego

Z rozmaitych względów interesujący jest „status zawodowy” tych, którzy żadnego zawodu nie posiadają, ale już pewne zawody reprezentują. Myślę tu o statusie zawodowym studenta. Istotą bycia studentem jest oczywiście przygotowywanie się do wykonywania określonego zawodu, w tym sensie student jest zawsze studentem czegoś: jakiejś specjalności, wydziału, uczelni. Równocześnie obok różnic związanych ze zróżnicowaniem przyszłych zawodów, istnieje znacznie obszerniejsza i mocniej odczuwana sfera czynników integrujących studentów z różnych typów uczelni w jedną wspólnotę. Analiza tych czynników mogłaby być tematem bardzo interesującego obszernego studium, istnieje zresztą wiele publikacji na ten temat. Środowisko studenckie ma swoje własne, wspólne problemy dotyczące zarówno pracy jak i tego wszystkiego co robi student poza samym „studiowaniem”. I tak od czasu do czasu pojawiają się żądania opracowania etycznych zagadnień dotyczących tego środowiska.

Zgodnie z omawianym już w Moraliach trendem, opracowania takie przybierać mogą formę kodeksów etycznych. Jednakże propagowana tu postawa antykodeksowa nakazuje inne podejście do tego zagadnienia. Nakazuje ona zaproponować takie rozwiązania, które nie przesądzając żadnych szczegółowych wniosków dało by podstawy do myślenia etycznego o sprawach studenckich. Idzie więc o szerokie ramy dla bezkodeksowej etyki studenckiej.

Refleksja etyczna pojawiająca się w sytuacjach „specyficznie studenckich decyzji” jak każda refleksja moralna, obok danych opisowych uzyskanych z analizy sytuacji, potrzebuje danych aksjologicznych, też normatywnych. Dopiero suma danych obu rodzajów dać może jako konkluzję tezę normatywną mówiącą jak należy postąpić w określonej sytuacji. Ponieważ zakładamy, że też tych student nie będzie brał z kodeksu etycznego, ich źródłem może być etyka normatywna (Etyka Mała i Etyka Wielka) oraz moralistyka, zarówno w postaci zwerbalizowanej w książkach, księgach i artykułach, jak również w postaci norm i odczuć moralnych funkcjonujących w świadomości potocznej.

Przede wszystkim zauważyć należy, że owe specyficznie studenckie sytuacje związane są ze specyficznymi formami aktywności jakie wymagane są od studenta, związane są z jego pracą i celami tej pracy. A więc etyka studencka jest pewną konkretyzacją etyki pracy, gdy „pracę” pojmujemy dostatecznie szeroko, tak, aby obejmowała ona nie tylko strictly robocze czynności lecz całokształt warunków w których te czynności przebiegają.

Poszukiwane tezy normatywne, które w konkretnych przypadkach umożliwią skonstruowanie wskazówek co do postępowania, uzyskać można drogą analizy celów pracy w ogóle i danej formy pracy w szczególności.

Jaki to najbardziej generalny cel ukierunkowuje ten zbiór różnorodnych czynności, który nazywamy studiowaniem? Oczywiście pogląd na tę sprawę może być indywidualny, wtedy może się okazać, że dla kogoś studiowanie to przede wszystkim forma rekreacji, przyjemnego spędzenia czasu czy też przygoda życiowa. Przyjęcie takiego punktu wyjścia zamyka jednak możliwość jakiegokolwiek racjonalnej refleksji nad etyką studencką. Jakiegokolwiek dowolne kryterium czy teza normatywna są w takiej sytuacji równie dobre (czy równie złe). Szukając mocniejszego, intersubiektywnego, punktu zaczepienia dla refleksji teoretycznej odwołać się możemy do społeczno-instytucjonalnego punktu widzenia, do celów które stymulowały powołanie do życia wyższej uczelni w ramach danej struktury społecznej. Tutaj ów najbardziej generalny cel określany będzie przez potrzeby społeczne. Społeczeństwu potrzebni są fachowcy, którzy zabezpieczą będą sprawne funkcjonowanie gospodarki państwa oraz funkcjonowanie nieodzownych instytucji nadbudowy. A zatem, poszukiwanym przez nas celem emitującym normatywy postępowania jest zdobywanie określonych umiejętności zawodowych.

Zdobywanie umiejętności zawodowych nie jest jednak celem jednowymiarowym, choć zdarza się, że bywa tak przedstawione w rozmaitych dokumentach instytucji. Nauczyć się pracować, to w jednym wymiarze — służyć społeczeństwu, w drugim — służyć sobie samemu. Etyka powiązana z ideałem humanizmu socjalistycznego musi brać pod uwagę harmonizowanie interesu społecznego z interesem indywidualnym. Z kolei „służyć sobie samemu” oznaczać może co najmniej dwie rzeczy: 1) Oznaczać może rozwijanie własnej osobowości jednostki bezpośrednio przez pracę, przez uczestnictwo w koniecznym dla każdej pełnej osobowości procesie tworzenia, również przez potwierdzanie swojej wartości w sukcesach zawodowych. Te aspekty „służenia sobie przez pracę”, niezależnie od wszelkich informacji teoretycznych, są coraz częściej uświadamiane w społeczeństwie socjalistycznym, praca staje się wartością bezpośrednią. 2) „Służenie sobie” oznaczać może dążenie do osiągnięcia pewnego wysokiego standardu życiowego, oznaczać może wstydlawy często ideał „życia dostatniego”. Zarówno pierwszy jak i drugi aspekt zdobywania umiejętności zawodowych aby służyć sobie samemu pojawia się w refleksji decyzyjnej (wystarczy wziąć pod uwagę np. nieodzowny materiał jaki potrzebny jest do decyzji dotyczącej wyboru miejsca pracy), pojawia się on również w refleksji w sytuacjach wyboru etycznego.

Z punktu widzenia abstrakcyjnych ideałów etycznych najbardziej elegancką, aksjologicznie formę miałyby takie zbiory dyrektyw etycznych, które pomijałyby ów wstydlawy „egoistyczny” drugi aspekt służenia sobie samemu. Etyka realistyczna nie może jednak abstrahować od faktu, że aspekt ten pojawia się w myśleniu etycznym. Proponujemy zatem aby w etyce studenckiej konkretne dyrektywy dotyczące postępowania słusznego, konstruowane były w oparciu o trzy wymiary kształcenia jako celu wyższej uczelni:

- 1) Zdobynam umiejętności zawodowe aby służyć społeczeństwu,
- 2) Uczę się pracować, aby przez pracę pełniej rozwijać swoją osobowość,
- 3) Uczę się pracować, aby osiągnąć pożądaną stopień komfortu życiowego.

Oczywiście w konkretnych decyzjach zachodzić może konflikt między wymienionymi aspektami celu głównego. Na przykład, gdy proponują mi pracę lepiej płatną ale mniej ciekawą, czyli pozytywną z punktu widzenia 3), a negatywną z punktu widzenia 2). Wtedy jednak żaden etyk nie ma prawa decydować za jednostkę postawioną w takiej sytuacji. Etyk może co najwyżej namawiać do jak najdokładniejszej analizy warunków sytuacji decyzyjnej, tych warunków normatywnych i tych opisowych. Etyk postulować może jedynie myślenie etyczne.

Na studiach zdobywa się jednak nie tylko wiedzę zawodową bezpośrednio przydatną w pracy po ukończeniu studiów. Wyższa uczelnia zaopatruje absolwenta również w wiedzę pozazawodową. Cały szereg elementów tej wiedzy jest nieodzowny do zabezpieczenia pierwszego i drugiego aspektu ideału pracy, a więc służeniu społeczeństwu i rozwijaniu własnej osobowości. Aby rozumnie i twórczo służyć społeczeństwu nie wystarczą same umiejętności zawodowe, trzeba do tego posiadać jeszcze wiedzę o społeczeństwie, o procesach społecznych, o interesach społecznych, o potrzebach ludzi żyjących w danej społeczności. Bez tej wiedzy wykonywać można, jak to się czasami zdarza, dobrą robotę, której cele czy konsekwencje bynajmniej nie są dobre. Można np. zbudować dobry, technicznie bez zarzutu most w miejscu gdzie nie jest on wcale potrzebny, można zaprojektować i zbudować zakład prze-

mysłowy, którego produkcja dobrze służy gospodarce ale zakład ten szpeci krajobraz i zanieczyści środowisko naturalne. Potrzebna jest zatem ponadzawodowa wiedza o wartościach realizowanych przez pracę, o celach pracy w danej strukturze społecznej. Potrzebna jest przede wszystkim świadomość, że wskaźniki ekonomiczne nie są ostatecznym celem pracy, że celem tym jest zaspokajanie różnorodnych potrzeb żywych, konkretnych ludzi. Również by praca mogła być rzeczywistą twórczą potrzebą człowieka, trzeba rozumieć proces pracy, znać jego uwarunkowania. Aby realizować swoją osobowość trzeba rozwijać, w oparciu o wiedzę pozazawodową, twórczą dociekliwość. Aby w pełni rozumieć i kształtować swoją pracę trzeba rozumieć swoje miejsce w strukturze społecznej, w świecie. Konieczne tu jest rozumienie przyrody, rozumienie innych ludzi i rozumienie spraw społecznych.

Studiowanie jest procesem złożonym. Wybrałem i omówiłem tylko niektóre, najogólniejsze aspekty etyczne tego procesu. Jest ich z pewnością więcej, choćby sprawy związane z tzw. „działalnością społeczną studentów”. W szkicu tym nie stawiałem sobie za cel napisanie „Etyki studenckiej” — tę książkę piszą sami studenci. Pokazać tu chciałem tylko, że możliwa jest taka etyka, w której pozostawia się miejsce dla samodzielnych wyborów moralnych, że możliwe jest myślenie etyczne oparte na rozumieniu struktury społecznej, w ramach której pojawiają się konkretne sytuacje decyzyjne.

MACIEJ KALUSZYŃSKI

Z § NA BAKIER

„Lany”

PRZYJECHALI JAK TRADYCJA ówczesna kazała we wtorek zaraz po „lanym”. I jak tradycja również kazała wlać co nieco w siebie. Wszak kolejne dni zmagania o zaliczenie należy jakoś rozpocząć. Wlali niedużo. Trzy i pół litra na ośmiu. Wtedy, a może trochę później, kiedy to Zbyszek skoczył po uzupełnienia, Andrzej przypomniał sobie, że jeszcze z karnawału pozostało mu kilka balonów. Wyjął je z szafy, na-

dmuchali i zaczęli odbijać, zaczęli grać w taką improwizowaną siatkówkę. Później ktoś przypomniał sobie, że przecież wczoraj był dyngus, że mczć by tak kolegę potraktować wodą, ktoś przypomniał sobie lata młodzieńcze, kiedy to w smoczek od niemowlęcej butelki (wówczas za 50 gr sztuka) wlewał wodę i miał taką podręczną hydronetkę, inny wpadł na to, by miast smoczka użyć karnawałowego balona i wtedy to zaczęła się zabawa. Radości dopeł-

nił Zbyszek wracający z dzwicznie pobrzekującą „posiłkową” siatką. Cóż było robić? Ochrzczono go pokazną ilością „cieczy hydrantowej”, po czym pospołu przystąpiono do otwierania przyniesionych butelek, odstawiając wypełnione wodą karnawałowe balony na bok. Ktoś otworzył kolejną konserwę świątecznej szynki, ktoś włączył magnetofon, ktoś przypomniał sobie o karnawałowych balonach. Były za ciężkie na to, by je podbijać, więc Zbyszek kopnął. Bogdan „przedłużył” podanie. Andrzej dotknął nogą i balon pękł. Potężna kałuża wody rozlała się po podłodze. Śmiali się. Próbowano robić zakłady: przeleje się, czy nie przeleje do sąsiadów piętro niżej. Z zakładów nic nie wyszło, postanowiono natomiast, że jutro sprawdzą. Rozlano następną kolejkę. Andrzej wyjrzał przez okno. Ósme piętro oddziało na niego tak, jakby cierpiał na lek przestrzeni. Splunął. Ślina rozbiła się na drobne krople. Stuknął się w czoło.

— A gdyby tak balon! — wykrzyknął niczym Archimedes.

Pomysł się spodobał. Andrzej z Bogdanem cisnęli potężne gumowe jajo wypełnione wodą na betonowe płyty chodnika. Rozległ się niegłośny huk i fontanna wody trysnęła na kilka metrów w górę od betonowej powierzchni chodnikowych płyt. Po raz drugi tego dnia głośno się zaśmiali. Po raz drugi zabawa spodobała się. Zagrały teraz pobudką nawyki wyniesione z cotygodniowych szkoleń wojskowych, strzał musi być celny, naboju nie należy w walce z wrogiem bezproduktywnie zużywać. Andrzeja mianowano starszym kanonierem, reszta stanowiła obsługę wyrzutni. Andrzejowi rola dowódcy spodobała się. Starannie począł dobierać obiekty rażenia.

Młoda dziewczyna, z tej wysokości wyglądająca na dwadzieścia, może dwadzieścia jeden, długie włosy, jasny sweterek... Rzut. Pudło. Dwa, trzy metry za nią. Usłyszeli tylko głośne wyzviska pod swoim adresem.

Następne strzały były bardziej celne. Zgodnie z „namiarem” metr przed obiektem. Skutek: mokra odzież i te wyzviska. Fragmenty słów dobiegające na ósme piętro były wystarczającą dla nich nagrodą. I wszystko byłoby fajnie chyba do ostatniego balona, gdyby nie strzał „w dziesiątkę”. Zwalona ciężarem tych kilku kilogramów wody młoda kobieta musiała skorzystać z pomocy ludzi odzianych w białe kitle pogotowia ratunkowego. Później była milicja, protokół i sąd; ze względu na wcześniejszą umowę pomiędzy cywilnym wymiarem sprawiedliwości, a sądownictwem studenckim, był to sąd koleżeński.

Spotkałem kiedyś Bogdana. Pracuje w przemyśle. Będzie w tym roku zdawał na studia wieczorowe. Pięć lat „wilczego biletu” już mu minęło. Nie wiedział, co robią inni. Podobno ktoś z nich hoduje pieczarki. JAN



Fot. M. STANIELEWICZ

SKRETY

Leon Krzemieniecki

AKTOROWANIE

Kiedys byłem w teatrze na przedstawieniu sztuki „Fortepian” Jerzego Szaniawskiego, któremu ostatnie lata życia nie poskąpiły trosk. Sztuka ta nie jest mocną pozycją wybitnego dramaturga, nie dorównuje takim jak „Most”, „Adwokat i róża” czy „Ptak”.

Nie ma się więc czemu dziwić, że zboczyłem nieco marginalnie na uporczywie angażującą ciekawostkę lingwistyczną. Idąc torem dramaturgii aktorzy nader często nadużywali powiedzonka „a n o”. Czasem wpadało owo „ano” ni w pięć ni w dziewięć w nastawione czujnie ucho, częściej wyrażało niezdecydowanie, głębiej osobistej refleksji, trudność w uzewnętrznieniu zbolalej myśli bohaterów dramatu.

Po powrocie do domu sięgnąłem po tekst sztuki i skrupulatnie policzyłem wszystkie „ano”. Jest ich tylko, jak się okazało, jedenaście, chociaż w teatrze odniosłem wrażenie, że winno być daleko więcej. Doszedłem do wniosku, że wrażenie było powodowane występowaniem zespołowym, jak to zauważalne jest na przykładzie dialogu z aktu trzeciego:

PAWEŁ Ano...

WALDEMAR Hm... zapewne.

PAWEŁ To też to.

WALDEMAR Ano... cóż?

Nie zamierzamy podważać wielkości Jerzego Szaniawskiego, którego twórczość dramatyczna, obok znakomitych powiastek filozoficznych profesora Tutki, siedzi trwale w siódle historii literatury. Również nie chodzi o to, aby w jakikolwiek sposób przez unaocznienie werbalistów regionalnych uszczknąć coś niecoś z dobrze zapracowanej sławy. O taki podstęp posadzić mnie nie sposób. Cenię twórczość tego

dramaturga i do dziś dnia zachwyca mnie recenzja o mojej własnej sztuce wybitnego krytyka teatralnego: „Lepiej było przeczytać „Most” Jerzego Szaniawskiego, niż napisać „Bzy” Leona Krzemienieckiego”!

Rzecz w tym, że każde mistrzostwo ukazuje z czasem takie czy inne szczeliny i pęknięcia, że coś w percepcji pokoleń łamie się i gnije. W dramatach, jeszcze niedawno widniejących w pełnej gali i cieniach kinkietów na scenie, pewne teksty lub ich kawałki tak „wysuszają” rolę, że trzeba je wykreślić, zniwelować jak nierówności gruntu pod budowę spółdzielczych mieszkań, że pozostaje coraz mniej, mniej frazy.

Współczesność dokonuje korekty wobec „pozostałek przeszłości” (tego pojęcia użył Kazimierz Brodziński) i jest to nieubлагana dialektyka dziejów. Przyszłość skarci niewątpliwie naszą obecną sztukę i z jej nadmiernej produkcji, wybierze dla siebie nieliczne ziarenka i żdźbła. Tak my postępujemy i tak uczyni z nami progenitura! Może nawet nasze predysponowane akcenty ściszą się tak dalece, że dosłyszane zostaną obecne silentia?

I stanie się tak nie według jakiegoś widzimisie, nie na zasadzie dowolności, czy prawnego przymusu. Stanie się tak w sposób obiektywnie uzasadniony, aczkolwiek zrazu niedostrzegalnie.

Na czymże więc polega aktorowanie?

Na pełnym wykonaniu i zaangażowaniu w rolę, którą wybraliśmy i którą nam powierzono z zaufaniem. Czujemy się jak aktorzy „Fortepianu”, sztuki dobrze pomyślanej, zawierającej spory zasób myśli i postępowych idei, w której budzi wątpliwości nadużywane owo „ano”, w której dramaturg w sposób nader widoczny i wyraźny nie potrafił się uporać z tak ważnym w dramacie finale.

Jednak nie to jest istotne w aktorowaniu na nieustannie ściągającym uwagę ugorze społecznej działalności i indywidualnego postępowania, którym jakże łatwo doczepić łatkę drobnomieszczańską w zamiarze i stylu. Wykonując wszelkie zajęcia i roboty, wykazując zapobiegliwość i sprawność, dążymy do Marsjasowego mistrzostwa w przeświadczeniu, że jedynie ono daje nam osobiście ważną satysfakcję i zadowolenie z dobrze spełnionego czynu.

Ten całościowy czyn jest niestety na dzień dzisiejszy. Jutro obdarzy nas prawdopodobnie aplauzem za jego częstkę sposobną dla siebie. Wielkim jest dzieło Michała Anioła. Ale jego monumentalizm, uznany i ceniony, budzi już sprzeczne refleksje. Tak co do treści, jak i co do formy.

Takie są oto epoki ludzkie. Obecne. I takie będą przyszłe: krytyczne...

Albowiem dzisiaj nie jest jeszcze jutrem. Lecz ta świadomość, wbrew pozorom, sprzyja i dodaje wdzięku ludzkiemu jednodniowemu aktorowaniu, w jakże krótkiej wobec dziejów osobistej biografii. I to właśnie zobowiązuje. Oby z naszych wielkich dzieł pozostało jak najwięcej cząstek dla świetności przyszłych pokoleń!

mamy maj

MAMY maj i maj ma nas. Rozkwitają paki i uczucia, rozkwitają jabłonie i grusze. Ludzie budzą się ze snu zimowego. Rozkwitają donosy. Działkowicze udają się na swe poletka, jedni — aby odnowić kontakty z przyrodą, inni — aby nabrać wprawy w sztuce kopania dołków. Wszystkie wyższe przytoczone objawy piątego miesiąca są zdrowe i bardzo ludzkie. W piątym miesiącu człowiek zaczyna się intensywnie ruszać nie tylko za interesami, co powoduje, że mały, przygodnie spotkany na ulicy brzdąc, rzecze: „w marcu koty, w kwietniu psy, a w maju my”? Jak wiadomo, naukowcy są innego zdania. Mgr Jan W. w swej niedobronionej pracy doktorskiej „Nateżenie szumu rosnącej trawy w maju w decybelach” dowodzi, że... Dajmy spokój naukowcom. Naukowiec jedno pisze, drugie mówi, a o trzecim myśli (jak każdy z nas zresztą).

Maj... May Karol autor „Winnetou” i innych poczytnych książek. Podobno Dziś Zachód po napisaniu swych znanych wśród młodzieży arcydzieł. Wrócił z własnym skalpem. Majka lekarska (Lytta vesicatoria) — chrząszcz z rodziny oleic, larwy drapieżne, dorosłe żywią się liśćmi. Majerana hor-

tensis nazywana przez prostaków majerankiem ogrodowym, jak sama nazwa wskazuje, rośnie w Afryce, zach. Azji aż po Indie, lodyga wys. 20—50 cm. Majman Salomon — żydowski pisarz i filozof, reprezentant nurtu zwanego Has-kalą. Majmonides — znowu żyd. To tylko część haseł związanych z majem jakie podaje encyklopedia. Nietrudno dostrzec, że encyklopedia niewiele nam pomoże. Spójrzmy prawdzie w oczy. Jeśli oczywiście nie jest zezowata. Maj jest najkrótszą nazwą miesiąca. Nazwa ta składa się z trzech liter: „M” jak Maria, „A” jak Anna oraz „J” jak Janina. Z prostego rozbioru miesiąca na czynniki pierwsze wynika niezbicie że miesiąc maj związany jest z kobietami. I nie jest to kłamstwo! Jest to natomiast okres intensywnego zrzucania starego poroża przez jeleni i wyrastania nowego. Tempo wzrostu nowego poroża jest zbliżone do tempa okresu letniego, okresu wczasów. Tak jest u zwierząt. A jak jest u ludzi? U ludzi jest podobnie. Każdy przecież wie, iż podczas porządków wiosennych, z szaf pozbawionych naftaliny, wylatują na zewnątrz mole zdrady, które dopadają przechodniów, mieszkańców miast, wsi i osiedli. Jak temu niekorzystnemu zjawisku zapobiec? Małżeństwo pragnące stałego ogniska domowego, winno regulować ów płomień za pomocą dezodorantu „Muchozol”, który w połączeniu z naftaliną daje nieoczekiwanie bardzo dobre rezultaty. Już maj, biegnijmy więc co tchu w klatkach piersiowych, jak i w klatkach z piersiami, po rewelacyjny środek „Muchozol”, naftalinę i lepy na mole. Kolejka obowiązuje jedynie ludzi starszych i kobiety ciężarne. Uwaga, uwaga — nadchodzi maj.



[2]

505 rocznica urodzin to na pewno nie tak „okrągły” i głośny jubileusz jak 500 rocznica, ale jest to też szczególna okazja (a miała miejsce końcem lutego) do złożenia ukłonu Mikołajowi Kopernikowi który chyba nie będzie miał za złe, że patronuje konkursowi indywidualnego współzawodnictwa w nauce i pracy społecznej.

Za zgodą Kopernika czy nie, w każdym razie cel jest wzniosły.

Kontynuując cykl „PRIMUS INTER PARES” dalej przedstawiamy dwukrotnych laureatów Konkursu Kopernikowskiego, a więc zdobywców Złotych Odznak im. Mikołaja Kopernika.

Ryszard BOCZAR jest studentem V roku Instytutu Technologii Budowy Maszyn (I-24) Wydziału Mechanicznego Filii Politechniki Wrocławskiej w Wałbrzychu. Pierwsze miejsce w Konkursie Kopernikowskim uzyskał w latach 1975/76 oraz 1976/77. W tych też latach był przewodniczącym Komisji Nauki Rady Filii SZSP a następnie przewodniczącym Komisji Rewizyjnej Rady Filii SZSP.

Stanisław GRYGLEWICZ — laureatem Konkursu Kopernikowskiego został w Instytucie Chemii i Technologii Nafty i Węgla raz w roku szkolnym 1973/74, a po raz drugi 1976/77. Jest studentem V roku. Jego średnia ocen w ostatnich semestrach oscyluje wokół 4,5. Przez cały okres studiów pracował w Radzie Instytutowej (I-3) będąc przewodniczącym Komisji Problematyki Międzynarodowej.

Antoni IZWORSKI przyjęty na studia bez egzaminów wstępnych (typowany przez Technikum Elektryczne w Nowym Sączu). Od października jest na studiach doktoranckich w Instytucie Cybernetyki Technicznej (I-6). Bardzo dużo pracował społecznie, już na pierwszym roku w Komisji Ekonomicznej Zarządu Wojewódzkiego a konkretnie w Studenckiej Sekcji Przeciwalkoholowej, później w Komisji Zagranicznej Rady Instytutowej (I-6) i w tej też Radzie w następnym roku objął funkcję przewodniczącego Komisji Nauki. Oprócz tego, że wielokrotnie otrzymywał specjalną premię Rektora, dostał również nagrodę sekretarza PAN. W osiągnięciu takich wyników nie przeszkodziło

dziło (a może właśnie pomogło) zawarcie związku małżeńskiego na drugim roku studiów. Oprócz tego, że ma żonę i dziecko to do tego jeszcze potężny kłopot z mieszkaniem.

Jerzy RYCZAJ na pytanie o ilość egzaminów zdanych na „5”, jako jeden z niewielu studentów mógł odpowiedzieć „wszystkie prócz dwóch” i należy

dodać, że jest na piątym roku studiów. Studiuje w Instytucie Matematyki. Średnia ocen z czterech ostatnich semestrów 5,0. Na pierwszym roku studiów był członkiem plenum RI SZSP (I-18) zaś na III roku przewodniczącym Grupy Działania.

W latach 1975/76 i 1976/77 laureatem Konkursu Kopernikowskiego w Instytucie Inżynierii Chemicznej i Urządzeń Ciepłych (I-13 IS) został student (obecnie IV roku) Wydziału Inżynierii Sanitarnej Zbigniew WESOŁOWSKI. Jego średnia za dwa ostatnie semestry 4,8. Będąc na II roku studiów pełnił funkcję przewodniczącego Komisji Propagandy i Informacji Rady Instytutowej (I-13 IS), na III roku został v-ce przewodniczącym RI, zaś na IV roku studiów był komisarzem wyborczym w swoim instytucie w czasie wyborów do SZSP, po czym wycofał się z działalności w SZSP gdyż — jak stwierdza — „mam bardzo dużo pracy, szczególnie z ćwiczeniami projektowymi, których mam w tym semestrze aż 5”.

— Ile egzaminów zdaliście na „5”?

Jerzy Ryczaj: Wszystkie prócz dwóch, jeden na II roku i drugi teraz na V. Zbigniew Wesołowski: Nie wiem, nie liczyłem.

Stanisław Gryglewicz: Zdałem 24 egzaminy w trakcie studiów, ale na „5” około 10.

Antoni Izworski: Jeden na „4,5” reszta na „5”.

— Wasz sposób uczenia się:

J.R.: Uczyć się od początku i dokładnie, wtedy nawet do egzaminu nie trzeba się wiele przygotowywać.

Z.W.: To ładnie brzmi, ale ja uczę się z kolegą na kilka dni przed egzaminem, zaś przyjmuję metodę odpowiednią dla konkretnego egzaminu. Strona techniczna: siadam wygodnie w fotelu, i staram się nie zasnąć.

J.R.: Tak, trzeba wygodnie siedzieć i przyswajać wiedzę, nic innego ze strony technicznej nie trzeba. Uczę się w sesji od 20,00 do 24,00, w dzień nie potrafię się uczyć, zaś później trzeba spać.

Z.W.: Ja się uczę w dzień, ponieważ wracając w nocy od kolegi byłem świadkiem niemiłego incydentu. W moim przypadku najlepszy efekt daje uczenie się z kolegą. Od początku studiów uczę się z kolegą, stale z tym samym.

— Jakie są jego wyniki?

Z.W.: Podobne.

S.G.: Zaczę od technicznych sposobów: podobno najlepiej działa kwas glutaminowy i witamina B.

— Czy znaczy, że do tego się stosujesz?

S.G.: Może nie będę się przyznawał. Bo muszę powiedzieć, że bardzo nie lubię się uczyć w sesji i zauważyłem, że na kolejnych latach do egzaminów uczę się coraz krócej, no i coraz krócej pamiętam to, czego się nauczyłem, ale wcale się tym nie martwię. Uczę się tylko w dzień. Na I roku uczyłem się i nocą, zresztą, jak i moi koledzy, pamiętam taki tramwaj, który jechał zaw sze o 5 rano i był dla nas sygnałem, by pójść spać. Ale uczę się sam.

A.I.: Potrawię się doskonale koncentrować, gdy się uczę to zupełnie nie słyszę, co dzieje się wokół. Opanowałem ten sposób w internacie, jeszcze w szkole średniej. Muszę jednak co dwie godziny robić dłuższe przerwy. Uczę się w dzień i to zwykle rano. Często uczę się w grupie. Każdy z nas opracowuje szczegółowo część materiału, a później tłumaczy to pozostałym. Jeżeli już się czegoś uczę, to staram się to poznać solidnie.

— Jak rozwiązujecie sprawę podręczników i czy często uczycie się w czytelniku?

A.I.: W czytelniku zwykle spędzam czas, jak na coś czekam lub mam przerwę. Lubię atmosferę w czytelniku uniwersyteckiej. Staram się mieć wszystkie potrzebne podręczniki, dlatego wypożyczam je w pierwszych dniach semestru.

J.R.: Nie lubię uczyć się w czytelniku. Z podręcznikami nie mam kłopotów, bardzo często wystarcza jedynie dokładne zgłębienie wykładu.

S.G.: Chciałbym coś powiedzieć o swojej półce na książki. Na I roku miałem dwie pełne półki i jeszcze bez przerwy ganiałem za podręcznikami, teraz mam kilka książek, w tej liczbie i kryminały i słownik do angielskiego i to mi wystarcza. Na młodszych latach podręczniki są potrzebne a ponadto wykładowca ma zwyczaj podawania 10 lektur, z których większość jest niepotrzebna a studenci na siłę tego szukają. A jak naprawdę któryś jest potrzebny, to i tak go już nie ma w bibliotece i szukać nie warto.

Z.W.: Idę nowym programem studiów i dlatego mam duże kłopoty z podręcznikami, a szczególnie z literaturą do ćwiczeń projektowych.

— Egzamin, który wg Was był najtrudniejszy.

A.I.: Analiza — pierwszy egzamin, największe napięcie emocjonalne, może były później egzaminy trudniejsze, ale umiałem je już zdawać.

Z.W.: Trudno powiedzieć, chyba ostatni.

S.G.: Z chemii fizycznej na III roku.
J.R.: Wszystkie egzaminy są trudne, ale najtrudniejszy z fizyki.

— Na ile ocena zależy od szczęścia i przypadku?

J.R.: Zależy to od egzaminatora i od sposobu przeprowadzenia egzaminu.

— A ćwiczenia?

J.R.: Raczej oceny rzetelne i obiektywne, nie licząc przypadków.

S.G.: Z ocenami jest bardzo różnie, wszyscy krytykują, ja mniej, bo po pierwsze nie widziałem dobrego studenta, którego wyrzuciliby z uczelni, a po drugie jeżeli nawet ocena nie jest miernikiem obiektywnej wiedzy, to też nic nie szkodzi, bo życie jest też rodzajem egzaminu i nie zawsze to, co uzyskujemy jest odzwierciedleniem naszych walorów, tak samo z oceną. Jednak jeżeli ktoś ma wiedzę, którą nie potrafi się pochwalić przed egzaminatorem, to pewnie nie będzie umiał jej też zastosować.

— Czy chodzą na wykłady?

J.R.: Z pewnymi wyjątkami, które przemilczę.

Z.W.: Zależy od układu planu.

S.G.: Chodziłem raczej zawsze.

A.I.: Chodzę zawsze na wykłady i zawsze robię notatki.

— Jak wykorzystujecie wolny czas? Wasze hobby.

J.R.: Turystyczne wypadki, fotografia — mam dużą kolekcję przeźroczy, kino, teatr, no i od pół roku mam żonę...

Z.W.: W nowym modelu nauczania postarano się o to, byśmy nie mieli owego wolnego czasu, przez to został wyeliminowany problem z wykorzystaniem wolnego czasu, zresztą bardzo lubię spać...

A.I.: Muszę go dobrze organizować, inaczej było gdy byłem gospodarzem swojego czasu, inaczej teraz, gdy dziecko, żona... Interesuję się filozofią, ale nie dostałem zezwolenia na drugi kierunek studiów, dużo fotografuję, dawniej często jeździłem na rajdy, teatr, czasem kino.

— Jak przedstawia się Wasza znajomość języków obcych?

J.R.: Angielski znam prawie bardzo dobrze, rosyjski — przeciętnie, czytam po francusku, ale słabo.

Z.W.: U mnie z tym kiepsko.

S.G.: Nie mam predyspozycji do języków, ale średnio rozumiem po nie-

miecku, po rosyjsku doskonale radzę sobie na wycieczce.

A.I.: Zająć językowych jest zbyt mało w czasie studiów. Potrafię korzystać jednak z literatury angielskiej i rosyjskiej.

— Czy są jeszcze jakieś istotne sprawy, które chcielibyście przekazać innym?

J.R.: Sprawa sposobu wynagradzania laureatów KK. Wycieczka jest jedyną formą wyjazdu przeznaczoną dla laureata KK, do innych form wyjazdu laureaci nie mają prawa. Biorąc pod uwagę, że mimo dofinansowania, wycieczki wcale nie są tanie i to czasem nie pozwala na wyjazd. A przy kwalifikacji np. na praktyki IAESTE laureat rezygnujący z wycieczki powinien mieć punkty preferencyjne.

S.G.: Byłem jedynym laureatem KK rekrutującym się z I roku. Ponieważ zarządzenie Rektora nie pozwala na wyjazdy za granicę studentom z lat niższych niż 3 i 4 więc dostałem 1500 zł.

— Dziękuję za wypowiedzi, życzymy następnego sukcesu w Konkursie Kopernikowskim.

DZIDEK

TEATR i SZTUKA OTWARTA

W PAŹDZIERNIKU 1975 ROKU odbył się we Wrocławiu piąty i zarazem ostatni Międzynarodowy Festiwal Teatru Otwartego. Jeszcze przed rozpoczęciem V Festiwalu organizatorzy ogłosili enigmatyczną zapowiedź: „Festiwal powołaliśmy w służbie tego, co się staje, nigdy tego, co się już stało. Pierwsza runda teatru otwartego wydaje się być już skończona. Dla jej entuzjastów oznacza to chwilę wytchnienia. Po V Festiwalu ogłaszamy antrakty, lecz pozostajemy w gotowości do dalszych przygód. Ile lat przyjdzie nam czekać na nowe olśnienia?”.

Na konferencji prasowej w dniu rozpoczęcia Ostatniego Festiwalu, dyrektor Akademickiego Ośrodka Teatralnego „Kalambur”, a jednocześnie szef Festiwalu — Bogusław Litwiniec dalej precyzował: (...) zdecydowaliśmy się poszukać innej przygody twórczej, wszak cechą młodości jest szukanie nowych dróg. Nie chcemy jednak tracić kontaktu z ruchem odpowiedzialności artysty wobec swoich czasów. Za dwa, trzy lata zapraszamy na zdarzenie mniejsze, które chcemy, aby było naszą nową wspólną przygodą. Tak więc trzy lata temu postanowiono definitywnie zamknąć pewien etap znaczący w historii teatralnych dokonań pod szyldem: Międzynarodowy Festiwal Teatru Otwartego we Wrocławiu. Pięć tego typu festynów teatralnych w latach 1967—75

weszło na trwałe do historii kulturalnych dokonań w skali ogólnoswiatowej, a Wrocław za sprawą (każdorazowo) około 250 młodych ludzi stał się tradycyjnym miejscem światowych konfrontacji nurtów, kierunków, tendencji i postaw młodego teatru. „Le roi est mort; vive le roi!” — chciałoby się zakrzyknąć.

Dziś „kalamburowcy” zawsze realizujący konsekwentnie ideę sztuki otwartej proponują nowe spotkanie uważając, że dalszy rozwój młodego teatru wymaga ciągłej eskalacji różnych poczynań w sferze porozumienia i zrozumienia. Ogłaszając nowy międzynarodowy festiwal teatrów, nie poprzestając na podmiocie spotkań zapraszają do udziału w nich także poetów, muzyków, malarzy, filmowców, fotografików. Proponowana jest nowa struktura festiwalu celem — jak to głoszą organizatorzy — *wsparcia jedności w wielości poszukiwań artystycznych Sztuki Otwartej*. A mianowicie: nowe międzynarodowe spotkania (INTERNATIONAL MEETINGS OF THE THEATRE AND OPEN ART) składać się będą z trzech części: INTEGRACJA, KOOPERACJA, PREZENTACJA. Część pierwsza pod umownym hasłem „integracji” odbędzie się w dniach 21—30 września br. na Zamku Piastów w Oleśnicy — tylko w ścisłym gronie zaproszonych grup i osób indywidualnych (obserwatorzy i dziennikarze akredytowani będą tylko na II i III części Spotkań). Każdy teatr otrzyma jeden dzień, który wypełni przedstawieniami, warsztatami, próbami otwartymi, prezentacją swoich artystycznych zainteresowań. Część druga — „kooperacja” — jest pomyślana jako akcja na ulicach Wrocławia o jednej porze i „zajść” ma programowo pierwszego października. Ustalenie i przygotowanie programu tego jednorazowego zdarzenia artystycznego nastąpi podczas dziesięciu dni

trwania części pierwszej Spotkań i przy współudziale wszystkich jej uczestników. I wreszcie trzecia część Międzynarodowych Spotkań Teatru i Sztuki Otwartej — „prezentacja” — w dniach 2—8 października 1978 — będąca, w odzewie na wołanie ludu „chleba i i-grzysk”, namiastką poprzednich festiwali. Będą to, jak sama nazwa wskazuje, występy przed szeroką publicznością Wrocławia, wszystkimi gośćmi i obserwatorami Spotkań.

Jak zapowiadają organizatorzy, będziemy gościć we Wrocławiu około 300 uczestników Spotkań — będą to różne grupy artystyczne oraz twórcy indywidualni z całego świata zakwalifikowani decyzją Komisarza Artystycznego na podstawie nadesłanych zgłoszeń oraz zebranych opinii. Wszystkim teatrom, a zwłaszcza grupom zagranicznym zapewni się po Festiwalu krótkie, około 10—15-dniowe, tournée w 2—3 miastach uniwersyteckich Polski, a osobom indywidualnym umożliwiona zostanie prezentacja ich twórczości w klubach studenckich całego kraju. Organizatorem bezpośrednim jest Ośrodek Teatru Otwartego „Kalambur” we Wrocławiu przy współpracy Ministerstwa Kultury i Sztuki, Wojewody Wrocławskiego i Międzynarodowego Związku Studentów. W skład Komitetu Artystycznego Spotkań wchodzi: Komisarz Artystyczny Spotkań — Bogusław Litwiniec, współzałożyciele Międzynarodowej Federacji Teatru Otwartego: Jennifer Merin — ITI — Nowy Jork, Renzo Casali — Comuna Baires — Mediolan, Zdzisław Hejduk — Teatr 77 — Łódź, Carlos Gimenez — Teatro Ateneo — Caracas, Stefan Johanson — Teatr 9 — Sztokholm, reprezentanci Unii Teatru Otwartego w Polsce: Jerzy Bielunas, Wojciech Krukowski, Konstanty Puzyrna, Lech Raczak, Krzysztof Jasiński, Adam Kaczmarek.

WOJCIECH ALEKSEWICZ

jazz nad odra

JnO/78

Wojciech Aleksiewicz

Zdjęcia: W. RYMKO

MOTTO:

„Skąd to leć te robaszki
To ze stryżku babci Staszki
Babcia Staszka się uparła
Wlazła na strych i... umarła“
(próbka konferansjerki Marka Ka-
rewicza — nieodżałowanej pamięci)



Międzynarodowa grupa „Third Eye — Sense”

Słuchacze i Czytelnicy! Bywalcy „JnO”! Witamy Was serdecznie już po raz piętnasty. Znów mały jubileusz! Ale wszystko pójdzie normalnie, jak zwykle. — Głosił wstępniak z pierwszego numeru Biuletynu Festiwalowego. No i poszło. I „normalnie”, i „jak zwykle”. I tylko jakoś bardzo smutnie i posepnie zabrzmiały pierwsze takty, tradycyjnie rozpoczynającej Festiwal, „Swanee River”, nuconej przez uroczy „Dixieland Vocal Quartet.

Pierwszy przegląd studenckich zespołów jazzowych odbył się w dniach 7 i 8 marca 1964 roku i przeszedł do historii jako I Studencki Festiwal Jazzowy „Jazz nad Odrą”. Początkowo miał to być przegląd jedynie pianistów jazzowych okręgu dolnośląskiego lecz już w trakcie przygotowań imprezy, do solistów dołączono także grupy muzyczne, a zasięg przeglądu rozszerzono na cały kraj. Nazwa Festiwalu, o czym wszyscy zapewne wiedzą, została zapożyczona z koncertu, który pod takim hasłem odbył się swego czasu w auli Politechniki Wrocławskiej. W poprzednich festiwalach mogły w konkursie występować grupy reprezentujące wszystkie style i kierunki jazzu. Od 1974 roku konkurs festiwalowy odbywa się jedynie w kategorii jazzu nowoczesnego, gdyż postanowiono nie dublować konkursu jazzu tradycyjnego będącego domeną festiwalu „Złota Taraka — Old Jazz Meeting” organizowanego przez warszawską „Stodołę”.

Od pewnego czasu festiwale „Jazz

nad Odrą” monstrualnie się rozrosły, poszerzone cyklami koncertów typu „Jazz nocą”, „Jazzowe popołudnia”, „Wrocławski jazz” itp. oraz gigantycznymi koncertami w Hali Ludowej. Podmiotem festiwalu od lat jest jednak konkurs dla młodych adeptów jazzu, zwanych niekiedy „amatorami” (w odróżnieniu od tzw. „zawodowców”). Określenie jazzman — amator dla uczestnika konkursu „JnO” nie jest już dziś zbyt ściśle, gdyż duża ilość poszczególnych muzyków, czy też całych zespołów biorących udział w festiwalu de facto traktuje granie jazzu jako zawód, lecz nijak nie może wypłynąć na tzw. „szerokie wody” — co właśnie festiwal ma im umożliwić.

Przez wiele lat Festiwal „JnO” stanowił i dzisiaj stanowi także dla młodych terminatorów jazzu olbrzymią szansę zaprezentowania swoich zainteresowań, umiejętności, ich konfrontacji i fachowej oceny. Przykładem mogą tu być tacy muzycy, jak Włodzimierz Nahorny, Zbigniew Seifert, Janusz Ste-

fański, Tomasz Szukalski, Jan Jarczyk, Jacek Bednarek, Henryk Ślaboszewski, Andrzej Przybielski, Janusz Trzciniński, Czesław Gładkowski, Krzysztof Zgraja, Henryk Alber, Janusz Strobel, Stanisław Cieślak, Marianna Wróblewska, Ewa Sadowska, Wojciech Skowroński, czy wreszcie Ryszard Gwalbert Misiek. „Profesjonalne szlify” na „JnO” zdobyły zespoły takie jak np. „Hagaw”, „Old Timers”, „Paradoks”, „Jazz Carriers”, „Laboratorium”, „Ekstra Ball”, „Jazz Band Ball”, „Sami Swoi”, „Spisek Sześciu”, „Big Band Stodoła”, „Big Band PWSM”, „Old Metropolitan Band”, „High Society” i wiele innych.

XV jubileuszowy Festiwal „JnO” odbywał się w ramach VI Festiwalu Kultury Studentów PRL. Organizowany był na nieco innej, niż festiwale poprzednie, zasadzie, a mianowicie „robiły go” po raz pierwszy dwie instytucje: tradycyjnie Socjalistyczny Związek Studentów Polskich, a praktycznie ACK „Pałacyk” i Polskie Stowarzyszenie Jazzowe — Oddział we Wrocławiu. SZSP przeprowadził konkurs zespołów jazzu nowoczesnego oraz prowadził centralny klub festiwalowy w „Pałacyku”, organizując serię koncertów nocnych, PSJ zajął się natomiast organizacją imprez towarzyszących, tworzących otoczkę Festiwalu, na którą składały się głównie trzy wielkie koncerty w Hali Ludowej, a ponadto koncerty w „Piwnicy Świdnickiej”, „Rekwizytorni” oraz w wielu klubach studenckich i zakładowych. Ten dualizm „władzy” fatalnie wpływał na to, co zwykliśmy określać mianem dobrej organizacji imprezy; spore opóźnienia w rozpoczęciu koncertów (bynajmniej nie o kwadrans akademicki chodzi), fatalny ich rozkład, tak ustalony, że imprezy zapełniały się ze sobą i ciekawe koncerty, np. w „Rekwizytorni” przechodziły koło przysłowiowego kina, a do tego jeszcze brak informacji i spóźniający się Biuletyn Festiwalowy. Dużo bigosu narobił... Stan Getz.

Do ostatniej chwili organizatorzy nie byli pewni co do terminu Festiwalu. Stan Getz, który miał być główną atrakcją Festiwalu mógł wystąpić we Wrocławiu jedynie w poniedziałek — 20 marca. W związku z tym przesunięto specjalnie termin rozpoczęcia całej imprezy o jeden dzień. Niestety, w ostatniej chwili Getz odwołał swój przyjazd do Polski przekładając go na kwiecień.

Improwizowany show mimo woli: Budd Johnson and this „Sami Swoi”



Tak więc XV Festiwal „JnO” wędruje do historii jako „najdłuższy”. Praktycznie rozpoczął się bowiem już 14 marca koncertami grup zagranicznych w klubach. 15 marca w klubie „Pałacyk” nastąpiło „wodowanie Arki” — uroczyste otwarcie siedziby i inauguracja działalności Wrocławskiego Klubu Jazzowego „Pałacyk”. W dniach 17—18—19 marca odbywał się właściwy Festiwal, który zakończył się, jak obiecali organizatorzy, koncertem Stana Getza w kwietniu.

Ciekawą innowacją jest zmiana w regulaminie konkursu zespołów jazzu nowoczesnego, a dotycząca zasad kwalifikacji. Otóż po raz pierwszy przeprowadzono eliminacje strefowe, w pięciu ośrodkach: w Warszawie, Krakowie, Poznaniu, Toruniu i Wrocławiu. Grające na żywo zespoły oceniała komisja kwalifikacyjna, której dotycząca praca ograniczała się jedynie do przesłuchania nadsyłanych przez zespoły taśm z ich produkcją muzyczną. W przyszłości organizatorzy planują urządzić przesłuchania eliminacyjne do „JnO” w mniejszych ośrodkach, gdzie występuje brak jazzowych tradycji, stąd przesłuchania kandydatów na wyjazd do Wrocławia będą atrakcją ożywiającą życie muzyczne danego miasta.

W tym roku, z ponad 30 grup jazzowych, uczestniczących w eliminacjach, komisja kwalifikacyjna dopuściła do konkursu „JnO” 17 zespołów. Prezentowały się one jurorom i publiczności na dwóch koncertach w Sali Teatru Współczesnego. Jury w składzie: Zbigniew Kalemba (dziekan Wydziału Muzyki Rozrywkowej katowickiej PWSM) — przewodniczący, Czesław Gładkowski, Janusz Muniak, Andrzej Jaroszewski (prezes Polskiego Stowarzyszenia Jazzowego), Zbigniew Piotrowski, Jan Poprawa oraz Roman Waschko przyznało w kategorii zespołowej:

I nagrodę — „Dzieci Adama” z Katowic;

II nagrodę — „Confirmation” z Krakowa;

w kategorii indywidualnej:

I nagrodę — Krzysztof Ścierański — (bg) („Laboratorium”, „August”);

II nagrodę — Krzesimir Dębski — (viol) („Warsztat”).

Ponadto hojną ręką rozdzielono wyróżnienia w obu kategoriach, liczne nagrody i wyróżnienia specjalne: na uwagę zasługuje uhonorowanie nagrodą specjalną ACK „Pałacyk” we Wrocławiu, wspomnianego już Krzesimira Dębskiego w postaci rocznego stypendium w wysokości 1.000 zł miesięcznie. Powszeczeńnie panuje jednak przekonanie, że najlepszym zespołem Festiwalu było... jury!

Ogólnie należy stwierdzić bardzo wyrównany poziom (kompletny brak orłów) określany przez jury jako „dobry” — co należy rozumieć jako „przeciętny”. Zasługuje również na uwagę znaczna aktywizacja środowisk tradycyjnie uważanych za białe plamy na mapie krajowego jazzu, co jest bardzo optymistyczną perspektywą dla dalszego rozwoju jazzu w Polsce.

Stosunkowo liczna tego roku reprezentacja Wrocławia wypadła w konkursie słabo, chyba znacznie poniżej swoich możliwości — jedynie wyróżnienie w kategorii indywidualnej otrzymał Piotr Baron — młody saksofonista z grupy „Jazzgot”, oraz ta właśnie grupa — wyróżnienie zespołowe. Zdobywca I nagrody indywidualnej, grający na gita-

rze basowej Krzysztof Ścierański — to muzyk — jak go określił Tomek Tłuczkiewicz — „grający w trio, grał bez przerwy solo”, pozostaje wyraźnie pod wpływem brzmienia „Weather Report”. Obie nagrodzone grupy, co charakterystyczne, skutecznie oparły się naprowi elektroniki, stosowaniu tych wszystkich zniekształczaczy, uduśnianczy czy pulsatorów. Zdziwienie budził widok tradycyjnego fortepianu czy też skrzypiec bez przystawki. Widać ujęło to jurorów, więc postanowili to materialnie docenić, gdyż nie widzę innej pobudki do takiego właśnie werdyktu.

Wiele niezadowolenia wzbudził fakt pominięcia w werdykcie jury poznańskiej grupy „Warsztat”. Zespół ten w „JnO” brał udział już po raz czwarty! W 1975 roku na „XII JnO” „Kwintet Danka Jaromłowicza” — bo pod taką nazwą startował wtedy dzisiejszy „Warsztat” — nie znalazł się co prawda w gronie nagrodzonych, lecz zebrał bardzo pochlebne opinie, perkusista — Krzysztof Przybyłowicz został wyróżniony, a leader Bogdan Jaromłowicz również został wyróżniony za kompozycje. Na „XIII JnO” grupa zdobyła czwartą nagrodę zespołową, główną nagrodę za kompozycję i drugą nagrodę w kategorii solistów ponownie dla swego perkusisty. W kolejnym „JnO 77” — trzecią nagrodę zespołową i drugą nagrodę w kategorii solistów dla lidera. W tym roku poznańscy muzycy zadowolili się musieli nagrodą indywidualną skrzypka. Trzeba przyznać, że wytrwałość i ambicja zespołu są podziwu godne, zważywszy, że zespół to już de facto profesjonalny. Nie dowierzając własnej pamięci zadałem sobie trud przejrzenia fachowych recenzji („Jazz”, „Jazz Forum”) z poszczególnych występów konkursowych „Warsztatu”. Znamienisty jest bardzo fakt, że grupie poświęcano zawsze dużo, dużo więcej uwagi niż wynikałoby to z zajmowanych przez nią pozycji w konkursowych przeglądach. Sugerowano przy tym często jury, że zbyt nisko oceniło grupę.

Mocno kontrowersyjny werdykt jury pobudzał do zastanowienia, czy jurorzy mogą stosować maksymę „de gustibus non est disputandum”, czy też wyznacznikiem ich oceny winien być poziom prezentowanych umiejętności przez zespół, jak i przez poszczególnych instrumentalistów.

Przejdźmy teraz do omówienia koncertów-gigantów w Hali Ludowej. Było ich trzy tylko i dzięki Bogu. Wszystkie trzy rejestrowała telewizja czyniąc nawet stosunkowo mały, jak na telewizję bałagan.

Pierwszy koncert pod nazwą „Singing Jazz” prowadził Tomek Tłuczkiewicz, wystąpili: „Dixieland Vocal Quartet” (jak daleko od zespołu NOVI, a jednak jak blisko), poznańska grupa „Spirituals and Gospels Singers”, „Sami Swoi” wraz z współpracującymi z nimi ostatnio sławną już Hanką Banaszak z Janem Izbińskim (voc. g). Grupa Krzysztofa Sadowskiego z żalosną Lilianną Urbańską, nasi ulubieńcy — „CRASH” z Grażyną Łobaszewską, rockowa grupa z NRD „Krokodil”, która na Festiwal trafiła w wyniku pomyłki i wreszcie „Laboratorium” z ciągle rozwijającym się i nie mogącym się wreszcie rozwinąć Markiem Strykowskiem. Próba integracji jazzu z poezją wypadła żenująco, ogwizdana dyskretnie przez Halę.

Koncert drugi „Gwiazdy jazzu i gwiazda ekranu — Charlie Chaplin Memory”: Mike Carr Trio, Alber — Strobil Quintet, Henryk Ślaboszewski, ho-

lenderski zespół Rein de Graaff/Dick Vennik Quartet, Kwartety Muniaka i Wróblewskiego „Ptaszyna”, Konrad Bauer — solo na puzonie (wypędzający skutecznie z Hali), „Sunship” CRASH — solo (osiągając perfekcję wykonania i cudowny kontakt z publicznością) i wreszcie największa wrzeszcząca atrakcja — murzyński saksofonista Budd Johnson w doborowym towarzystwie „Samych Swoich” — żywa historia jazzu. Budd udowodnił naszym krajowym sztywniakom co to jest jazz, po co on jest, jak go grać, i jak można się nim cieszyć.

Marek Karewicz, który obfotografowywał muzyków, w wolnych chwilach prowadził koncert jako konferansjer i był cudowny. I wreszcie ostatni halowy koncert laureatów, oprócz nich zgromadził dwie grupy zachodnie: „Electric Circus” z gitarzystą Toto Blanke oraz „Third Eye — Sense” — grupa wzbudzająca zainteresowanie bywałych tym, że jeden z jej członków wprawiał w drganie struny kontrabasu trącając je... członkiem... elektrycznym (zaspokajacz baterijny dla pań, o mocno fallicznym kształcie, wykonuje ruchy vibracyjne — do nabycia w porno-shopach). W koncercie w roli ściskacza i wręczacza wystąpił również Wojtek Siwek, powracając uroczyście na białym koniu po rocznej nieobecności w glorii i majestacie skarbника PSJ i prezesa Wrocławskiego Oddziału PSJ.

Summa summarum — w hali był pogłos, było monotoniście, było długo, było nudno bo mało urozmaicono czyli nie najlepiej. Czas najwyższy zastanowić się czy jest sens organizować tak długie i męczące koncerty dla tak wielkiego audytorium bez próby ożywczej integracji, która tak fajnie wypaliła w czasie niezapomnianego pierwszego maratonu w Hali „Jazz Story”.

Wkraczając w nowe festiwalowe dziesięciolecie — podczas kolejnego „XI Festiwalu JnO”, „etatowy” Kierownik Programowy Festiwalu — Wojciech Siwek — pisał: *Ostatni jubileuszowy „X Studencki Festiwal Jazzowy JnO” zamknął pewien etap w istnieniu tej imprezy, przynosząc jednocześnie sumę określonych doświadczeń i twórczych przemysłów jak również spostrzeżeń organizacyjnych. Obecnie, aby nam się „JnO” nie zestarzał co jest „przywilejem” bardzo wielu festiwali, konieczny jest nowy zastrzyk i nowe bodźce, które uzasadniają potrzebę jego kontynuowania i pozwolą utrzymać wysoką rangę i niepodważalne dotychczasowe zasługi „JnO” dla polskiego jazzu. Studencki rodowód imprezy usprawiedliwia jej ciągłe przeobrażenie. Impreza młodych powinna być każdego roku inna. Od kilku lat „JnO” przeżywa pewien regres. Celowo prowokacyjnie używam tego słowa dla określenia osiągniętego pewnego stabilnego poziomu „organizacyjnego”. Uważam natomiast, że przyzwyczajenie i rutyna, że nie powiem „profesjonalizm” — organizatorów, to największe niebezpieczeństwo dla Festiwalu... popadnięcia w sztamę, nudę i konwencjonalizm. Czy nie należałoby się — głęboko biorąc do serca słowa przytoczonego wyżej cytatu — zastanowić nad pewnymi zmianami, nad znalezieniem bardziej może nowszych, świeższych i odkrywczych form nie negując bynajmniej tych już wypracowanych. Nie zawsze bowiem, jak głosi maksyma (moja zresztą!) „lepsze jest wrogiem dobrego”.*

informuje

Nagrody

Kolegium rektorów wyższych uczelni Wrocławia pod przewodnictwem prof. T. Porębskiego przyznało po raz pierwszy doroczne nagrody za „szczególne zasługi w integrowaniu wrocławskiego środowiska naukowego”.

Uroczystość wręczenia nagród i dyplomów odbyła się pierwszego kwietnia w Auli Leopoldina Uniwersytetu Wrocławskiego. Laureatami zostali profesorowie: Włodzimierz BERUTOWICZ, Dionizy SMOLEŃSKI i Włodzimierz TRZEBIATOWSKI. Wszyscy trzej uhonorowani mają w dziedzinie nauki swój niebagatelny wkład.

Prof. Berutowicz absolwent Wydziału Prawa Uniwersytetu Wrocławskiego był jego rektorem w latach 1968–1971. Pełnił szereg ważnych funkcji w naczelnym organach państwowych. W 1976 r. został wybrany pierwszym prezesem Sądu Najwyższego.

Profesor Smoleński przez kilka lat był rektorem Politechniki Wrocławskiej. Aktywnie uczestniczył w życiu naukowym Wrocławia. Był jednym z założycieli a następnie prezesem Wrocławskiego Towarzystwa Naukowego.

Profesor Trzebiatowski we wrześniu 1945 r. rozpoczął działalność na Politechnice Wrocławskiej. Po kilku latach utworzył Zakład Fizykochemii Ciała Stałego, przekształcony następnie w samodzielną placówkę PAN. Powołał Instytut Niskich Temperatur i Badań Strukturalnych. Profesor doprowadził także do uruchomienia we Wrocławiu Oddziału Polskiej Akademii Nauk i był jej pierwszym prezesem.

Profesorowie Berutowicz, Smoleński i Trzebiatowski posiadają liczne odznaczenia państwowe.

J. H.

W dniach 21.02. — 1.03. br. na zaproszenie prorektora prof. Bogusława Kędzi gościł w Bibliotece Głównej i OINT doc. H. J. Manecke — dyrektor Instytutu Informacji Naukowej, Wynałazczości i Prawa Technische Hochschule Ilmenau. Doc. H. J. Manecke wygłosił 2 wykłady na temat form i metod kształcenia studentów i użytkowników informacji, przeznaczone dla pracowników Biblioteki Głównej i OINT oraz 3 wykłady z zakresu informacji naukowej dla studentów SINT-u. Przeprowadzono również rozmowy z udziałem prorektora prof. Wacława Kasprzaka na temat dalszej współpracy obu uczelni, wymiany staży-stów, udziału w konferencjach organizowanych przez Instytut i Bibliotekę.

(—)

Aktualności Rady Uczelnianej SZSP

Dnia 3. III. br. została podpisana w Politechnice Wrocławskiej umowa o współpracy pomiędzy RU SZSP Politechniki Wrocławskiej a ZU ZSMP Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Inżynierskich im. gen. J. Jasińskiego. Umowę podpisali: ze strony ZU ZSMP Zenon Cholewa, ze strony RU SZSP Jerzy Składzień.

Celem współpracy jest rozszerzenie tradycyjnych kontaktów pomiędzy Politechniką a WSOWiż., które umożliwią pełniejszą realizację działalności programowej oraz lepsze wzajemne poznanie środowisk. Współpraca ta, realizowana będzie w dziedzinach ideowo-wychowawczej, nauki, dydaktyki, kultury i rekreacji.

Szczegółowe formy współpracy zostały przedyskutowane w grupach roboczych po spotkaniu zainteresowanych stron. Formą realizacji współpracy będzie współdziałanie rad instytutowych SZSP i rad mieszkańców z kołami ZSMP. Obejmować ona będzie uczestnictwo w obchodach świąt państwowych i organizacyjnych, wymianę grup twórczych, wymianę doświadczeń w zakresie ruchu naukowego.

Na ostatnich posiedzeniach prezydium RU SZSP poruszano problemy dotyczące działalności SZSP w naszej Uczelni. Omawiano m.in.: najczęstsze niedociągnięcia w pracach komisji RU, do których zalicza się przede wszystkim opóźnienia w realizacji planów pracy poszczególnych komisji, a nawet nie wykonywanie niektórych założeń.

Powołany został sztab Akcji Lato 1978: komendantem została wiceprzewodnicząca RU i przewodnicząca Komisji Szkoleniowej RU — Wanda Idzikowska, a jej zastępcami: Przemysław Piotrowski — przewodniczący Komisji Propagandy i Informacji RU, Grzegorz Szewczyk — przewodniczący Komisji Nauki RU, Janusz Winter — przewodniczący Komisji Problematyki Społeczno-Zawodowej.

Akcja Lato 1978 obejmuje m.in. całość studenckiej wymiany zagranicznej (IAESTE, MOHP), praktyki zdecentralizowane, studenckie praktyki robotnicze oraz organizację Akcji Chełm 80, powierzoną w tym roku naszemu środowisku studenckiemu. W czasie akcji, prowadzony będzie, jak co roku, międzynarodowy dom studencki, organizowane będą imprezy kulturalne oraz szkolenie aktywu SZSP (Letnia Szkoła Aktywu — Szklarska Poręba 1978). Akcja Lato 1978 obejmuje również indywidualne wyjazdy studentów do krajów kapitalistycznych i demokracji ludowej, wyprawy turystyczne i naukowe, wycieczki krajowe i zagraniczne oraz obozy wędrowne.

Rozpoczęła się piąta edycja Turnieju Wiedzy Politycznej „Politykus 78”. Tegoroczny turniej przebiega pod hasłem „Wiek XX — Wiekiem Rewolucji Społecznych”. Przypomnieć należy, że Rada Uczelniana stawia „Politykusa” w pierwszym rzędzie swoich zadań na najbliższy okres. W Politechnice Wrocławskiej odbędzie się finał środowiskowy, a nie wykluczone, że podejmować będziemy również finalistów ogólnopolskich. Jak widać TWP ma dla nas charakter prestiżowy.

Kończą się już eliminacje w grupach działania. Najlepsi z poszczególnych grup biorą udział w eliminacjach instytutowych.

Zależy nam na wypracowaniu jak najciekawszej formy prowadzenia kolejnych etapów turnieju. Jedną z propozycji jest połączenie finału instytutowego z imprezą kulturalną. Szerokie pole do popisu mogą tu mieć komisje kultury, które jednak nie we wszystkich instytutach pracują jak należy.

Wszystkim startującym w TWP „Politykus” życzymy wyjazdu do Hawany.

W związku z rozpoczęciem na łamach tygodnika studenckiego „Politechnik” cyklu „Szczęście małżeńskie”, omawiającego sprawy małżeństw studenckich, redakcja wrocławskiego oddziału pisma zwraca się do wszystkich zainteresowanych w tej sprawie. Podzielcie się spostrzeżeniami, pokażcie mankamenty i perypetie, spróbujcie wskazać źródła takiego stanu rzeczy. Problem małżeństw studenckich nie jest do końca załatwiony i przez samo szkolnictwo wyższe załatwiony nie będzie. Czekamy na Was. Zależy nam szczególnie na autentycznych wypowiedziach tych „zaobraczkowanych” i tych, których czeka to wkrótce. Pamiętajcie: telefon 20 22 40 lub 20 35 53, a jeżeli znajdziecie chwilę czasu, przyjdźcie do redakcji mieszczącej się przy ul. Janiszewskiego, gmach C-3, pok. 14, bądź przedzwoncie osobiście do Marka Szewczyka, mieszkającego w DS T-8, Nad Fosą, telefon: 44 28 00 lub 09, pok. 318.

*

*

W piątek 31 marca o godz. 18.00 rozpoczął, a w niedzielę 2. IV o godz. 21.00 zakończył emisję programu-maratonu członkowie Studenckiego Studia Radiowego FOSA 64.

*

Tradycyjne „Universalia” czyli — „Pałacyk” w posiadaniu twórców i działaczy Uniwersytetu Wrocławskiego — to hasło rozpoczętych 2. IV. br. kolejnych Dni Uniwersytetu.

(emes)

W dniach 7–9.04. br. odbyło się seminarium filmowe pt. „Krzysztof Zanussi i jego dzieło”, zorganizowane przez Dyskusyjny Klub Filmowy Politechniki Wrocławskiej. W programie zaprezentowano m.in. filmy: „Twarzą w twarz”, „Zaliczenie”, „Struktura kryształu”, „Góry o zmierzchu”, „Za ścianą”, „Życie rodzinne”, „Iluminacja”, „Bilans kwartalny”, „Barwy ochronne”, „Spirala”.

W VII rocznicę niepodległości swego kraju, studenci Bangladeszu z wrocławskich uczelni zorganizowali 8.04. br. w auli Politechniki Wrocławskiej uroczystą akademię. W jej programie znalazły się m. in. scenki obyczajowe z życia ludu, tańce, poezja, piosenki, przeżeczka. Po akademii odbyła się dyskoteka w Centralnym Klubie Studenckim. Można też było obejrzeć wystawę sztuki ludowej Bangladeszu.

Chór Joie et Chant z Paryża — którego dyrygentem i kierownikiem artystycznym jest Francoise Vellard — wystąpił we wspólnym koncercie z Akademickim Chórem Górniczym Politechniki Wrocławskiej w auli uczelni dnia 15.04.78 r.

KRYSTYNA GIBNER

MKS AZS

W Szczyrku odbyły się Mistrzostwa Politechnik w Narciarstwie Alpejskim. Drużyna naszej uczelni wywalczyła w nich czwarte miejsce, ulegając Politechnikom z Krakowa i Warszawy. Indywidualnie Teresa Sędzimir (I-6) wywalczyła wicemistrzostwo Polski w slalomie specjalnym oraz czwarte miejsce w dwuboju.

Wyłoniliśmy mistrzów Politechniki w brydżu. Spośród 37 par, które uczestniczyły w zawodach w dniach 11 i 12 marca, najlepsi okazali się:

1. Jarosław Markowiak, Mariusz Zagalski 161 pkt.,
2. Edward Rutkowski, Robert Starzyński 160 pkt.,
3. Waldemar Augustyn, Tadeusz Dudek 156 pkt.

4.03. br. rozegrano kolejne Mistrzostwa Politechniki Wrocławskiej w Tenisie Stołowym. Mistrzostwa stały na wysokim poziomie. Startowali w nich wszyscy czołowi tenisiści Politechniki, którzy swój start potraktowali jako ważny sprawdzian przed Mistrzostwami Polski Politechnik. Zdecydowanie najlepiej zaprezentowali się architekci — Irene Gancewska i Leszek Janiewicz, którzy zdobyli wszystkie możliwe tytuły mistrzowskie: — w grach pojedynczych, podwójnych i grze mieszanej.

Natomiast w dniach 20—22.03. br. odbyły się Mistrzostwa Polski Politechnik w Tenisie Stołowym. Nasi reprezentanci zanotowali duży sukces wywalczyć tytuł Drużynowego Mistrza Polski Politechnik. W pobitym polu pozostali — co było ogromną niespodzianką — drużyna gospodarzy, Politechnika Gliwicka, której zawodnicy od lat należą do ścisłej czołówki krajowej.

Korzykarze MKS AZS Politechniki Wrocławskiej w II lidze! Zdecydowały o tym wyniki ostatnich meczów z ROW-em Rybnik — dwa zwycięstwa we Wrocławiu oraz zwycięstwo i porażka na wyjeździe.

19.03. br. na basenie Politechniki Łódzkiej rozegrano Mistrzostwa Polski Politechnik w Pływaniu. Dobrze spisali się na nich nasi zawodnicy, którzy w mocnej konkurencji wywalczyli tytuł drużynowego wicemistrza Polski. Indywidualnie najlepiej spisały się Jolanta Dawidowska, która zajęła II miejsce w wyścigu na 100 m. st. grzbietowym i IV miejsce na 100 m. st. dowolnym, Arleta Rakowska — druga na 50 m. st. motylkowym i piąta na 100 m. st. dowolnym oraz sztafety: 4×50 m. st. zmiennym kobiet — III miejsce, 4×100 m. st. zmiennym mężczyzn — II miejsce. Tytuł drużynowego mistrza Polski zdobyła Politechnika Warszawska.

BOGNA KRÓL

SALA LUSTRZANA ACK „PALACYK” zmieniła się w tym dniu nie do poznania. Podłogę pokrywały płachty czerwonej materii, migotały świeczki i barwne orientalne lampiony, w powietrzu unosił się zapach kadzideł. Blisko pół setki zainteresowanych muzyką indyjską zasiadło na czerwonej tkaninie. Szeroko rozszerzone, nieruchome żrenice, rytmicznie drgające kończyny, nieobecne odległe twarze dowodziły, iż część słuchaczy dostroiła się do atmosfery spotkania na długo przed jego początkiem. Bardziej światli i bywali goście usiłowali przybrać pozycję „Kwiatu lotosu”, ale niedysponowane ciała odmawiały z reguły posłuszeństwa. Zabrakło wprawy — i nic w tym dziwnego, jako że było to dopiero trzecie spotkanie klubu „RAGA”, grupującego miłośników muzyki hinduskiej.

Zorganizowany został on przez wrocławianina, pracownika politechniki — Piotra Wolańskiego. W momencie kiedy rozwiązano działający w naszym mieście klub Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Indyjskiej, zabrakło ośrodka popularyzującego muzykę i ogólniej kulturę orientálną. Zainteresowanie tą problematyką jest natomiast duże i zwiększa się z roku na rok. Istotną rolę odgrywają tu podróże naszych rodaków w tamte rejony a także rosnące znaczenie inspiracji orientalnej w światowej muzyce jazzowej i nie tylko jazzowej. Modzie tej wyszli naprzeciw także działacze Piwnicy Świdnickiej, którzy powołali do życia stowarzyszenie zajmujące się problematyką sztuki i religii Indii. Zarówno w przypadku Piwnicy Świdnickiej jak i propozycji Piotra

Wolańskiego, korzystającego z pomocy i pomieszczeń ACK „Palacyk”, zainteresowanie przeszło najśmielsze oczekiwania organizatorów. Pierwsze spotkanie muzyczne „RAGI” odbyło się w grudniu ub. roku z udziałem niespełna 30 słuchaczy. Po trzech miesiącach w Sali Lustrzanej zjawilo się ich ponad 100. Sukces to tym większy, że przy propagowaniu swoich imprez organizatorzy (jest ich raptem kilku) mogą liczyć tylko na swoje siły i w istocie reklama ich poczynania jest raczej skromna. Pracę utrudniają spore kłopoty ze sprzętem wypożyczanym każdorazowo od innej firmy. Do prowadzenia prezentacji płyt i omawiania zagadnień specjalistycznych zapraszany jest z Warszawy Piotr Pomorski, student filozofii indyjskiej, miłośnik i znawca kultury orientu. Spotkania z nim są bardzo atrakcyjne, bowiem osobiście zna wiele sław światowej muzyki (między innymi towarzyszył zespołowi Shakti J. Mac Laughlina podczas jego pobytu w Polsce).

Projekty twórców „RAGI” są niezwykle ambitne. Cykl spotkań z muzyką indyjską zaplanowany jest na wiele miesięcy i ma być podzielony na trzy wątki tematyczne. Pierwszy, aktualnie realizowany, dotyczy tylko i wyłącznie poszczególnych instrumentów Wschodu — sitaru, tabli i innych. W ciągu ośmiu spotkań zaprezentowanych ma być 9 instrumentów w ten sposób, iż uczestnicy oprócz rozmowy z prowadzącym, wysłuchają tych nagrań, gdzie są one szczególnie eksponowane. Etap drugi to prezentacja najwybitniejszych tematów hinduskich. Ostatni wątek tematyczny zamykający całość, to próba zaprezentowania rodzajów muzyki hinduskiej, z jej wieloma historycznymi, regionalnymi czy kastowymi nawet nianami.

Najczęściej muzyka będzie odtwarzana z płyt i taśm, ale gdyby to było możliwe, zapraszani będą na spotkania artyści z oryginalnymi instrumentami.

Naturalnie zaprezentuje się także zdjęcia, ryciny, przeżeczka i filmy. Spotkanie poświęcone sitarowi wypełnił recital sitarzysty Aleksandra Mrożka — dawniej znanego gitarzysty solowego (m.in. zespołu *Nurt*), od kilku lat z powodzeniem uprawiającego muzykowanie na sitarze. Jego występ był szczególnie interesujący, jako że nie usiłował on grać oryginalnej muzyki hinduskiej (próba z góry skazana na artystyczną porażkę, bowiem podstawowe szkolenie instrumentalisty w Indiach trwa ponad 10 lat), ale spróbował zmierzyć swe niemałe doświadczenie gitarzysty rockowego z bogactwem brzmieniowym sitaru. Trzeba przyznać, iż próba ta wypadła dość zajmująco.

„RAGA” to pierwszy studencki klub tego typu w Polsce. Trudności organizatorskie są nadal uciążliwe lecz nie zniechęcają jego twórców. Plany ich wykraczają bowiem daleko poza prezentację li tylko muzyki. Czynią oni starania o zaproszenie do występów tancerek hinduskich, rzecz jasna z całą bogatą oprawą sceniczną, przymierzają się z wolna do organizacji ogólnopolskich warsztatów twórczych dla muzyków próbujących szczęścia na egzotycznych instrumentach...

O swej pasji Piotr Wolański i jego przyjaciele opowiadają ze swadą i entuzjazmem, że jest to nie tylko hobby ale i styl bycia. Sposób na stressy, nerwice, sposób na poznanie siebie i nawet na spotęgowanie swoich możliwości twórczych w dziedzinach odległych od muzyki. Zapewniają iż częściowe choćby zrozumienie tej sztuki, to spory wysiłek, ale i wielokrotnie większa korzyść i satysfakcja. Cóż, wypada im chyba uwierzyć, a na pewno wypada wybrać się na piątkową prelekcję i dyskusję do Piwnicy Świdnickiej, w sobotę zaś na spotkanie do „Palacyku”.

WŁODZIMIERZ KALICKI

Rozmowa O KULTURZE STUDENCKIEJ

PYTAŁEM W RÓŻNYCH KRĘgach studenckich. Pytałem działaczy (tych na górze), kierowników klubów i tzw. szarych studentów. Stawiałem jedno pytanie-problem: *Co sądzisz o działalności klubowej i o kulturze studenckiej w ogóle.* Odpowiedź była jedna. Odpowiedź, którą można sformułować w słowach: „Tworzy się kombinaty rozrywkowe typu Riviera, Jaszczury, Pałacyk. Powoduje to profesjonalizację kultury studenckiej, oczywiście odbywa się to kosztem pozostałych klubów, które przeżywają regres pogłębiany przez inne agendy rozrywki np. TVP. Niemalą też rolę odgrywają stale rosnące wymagania dydaktyczne szkoły”.

Wypowiedzi te można przyjąć, można także z nimi polemizować. Faktem natomiast jest, że współcześni zawsze narzekają. A może to prawda? Nic też dziwnego, że pełen obaw poprosiłem Adama Grzecha v-ce przewodniczącego Rady Uczelnianej Politechniki Wrocławskiej, a zarazem przewodniczącego Komisji Kultury o wypowiedź na interesujący mnie temat.

✱

Adam GRZECH: Wyższa szkoła, jak wiadomo, spełnia trzy podstawowe funkcje: badawczo-rozwojową, dydaktyczną oraz wychowawczą. Dwie pierwsze możemy pominąć, jako najmniej związane z interesującym nas tematem. Natomiast trzecie... Wychowania nie załatwi się nakazami i zakazami. Działalność kulturalna jest jednym z tych poletek, gdzie proces ten można realizować najlepiej. Ale tu muszę wprowadzić pewien podział: na studia humanistyczne i niehumanistyczne. W tych pierwszych nie ma bowiem granicy pomiędzy wychowaniem, a dydaktyką, u nas jest nieco inaczej. Przyznam, że na studiach technicznych niektórzy dydaktycy wykazują w czasie zajęć zdolności pedagogiczne. To ideały, których należy stawiać innym za wzór.

Marek J. SZEWCZYK: — *Zatem znów wracamy do odwiecznego podziału na uniwersytet i politechnikę?*

— Zastrzegłem się, że ja staram się czegoś takiego unikać, lecz teraz w rozpatrywaniu przez nas problemu jest to niezbędne. To rzecz normalna, że każdy z nas w godzinach wolnych od zajęć zajmuje się czymś innym. Może to być piwo, dziewczyna, a może też być grupa twórcza. Większość z nas idzie po najmniejszej linii oporu, nie wystarczają zatem same chęci. Istotnym jest również fakt, że ambicją uczelni technicznej jest posiadanie jak najlepiej działającego środowiska kulturotwórczego. Do niedawna przecież hasło: „inteligencja techniczna” powodowało uśmiech u ludzi. Inteligent to humanista. Humanista to wszystko,

ale bez techniki, technik to konkretna robota, budowa, gumki, „polska łacina”. Nigdy technik nie tworzył dla duszy. A dziś? Częściej słyszy się politechnikę niż uniwersytet. Juwenalia organizuje AGH, Riviera — nie trzeba tłumaczyć, w Katowicach Politechnika Śląska, a i nasze Dni Kultury nie mają niestety konkurentów wśród wrocławskich humanistów. Poza tym uczelni technicznych jest więcej i może właśnie dlatego.

— *A czy nie decydują fundusze? Przecież politechniki są bogatsze.*

— Fundusze na działalność wychowawczą przyznawane są centralnie. Oczywiście nie wszystkie wydatki są z tego pokrywane, ale te „centralne” decydują. Zresztą nie może to być argument. Przecież na politechnice tylko niewielki procent ludzi jest uzdolniony aktorsko czy dziennikarsko. Uniwersytet ma większą bazę ludzką. Także proces dydaktyczny ułatwia „życie” ruchowi kulturotwórczemu. Już w czasie zajęć student uniwersytetu otrzymuje informacje ułatwiające mu doskonalenie warsztatu, natomiast potencjalny twórca politechniki robi to sam w ramach zajęć dodatkowych.

— *Uczestniczysz w spotkaniach ogólnopolskich. O czym tam się mówi?*

— Grupy twórcze „padają” ale powstają nowe. Niewiele grup kontynuuje swoją działalność przez ileś tam lat. Grupa twórcza jest, a może lepiej będzie gdy powiem, powinna być przegodą w czasie studiowania, a nie okazją do robienia pieniędzy. Dobrze więc dzieje się, że większość studentów traktuje to jak każde inne hobby. W pewnym momencie mówi sobie: dalej się nie bawię i biorę za doskonalenie swoich wiadomości zawodowych. Jest to pozytywny przykład lecz są i inne, skrajnie odmienne. Znam przypadki grup, które jeden program ciągną przez lata. Może ludziom się to podoba, może faktycznie jest na to zapotrzebowanie, a może przez to, że szybko znajdują sobie mecenasa pozastudenckiego (zwłaszcza wśród nowo powstałych województw, które za punkt honoru stawiają sobie posiadanie zespołów artystycznych, wielokrotnie nie przyglądając się bliżej prezentowanemu przez nie programowi), który ułatwia im robienie chałtury. Np. BABA po sukcesie w ruchu studenckim ma z nim teraz tyle wspólnego, że członkowie są nadal studentami. Miałem kiedyś pouczającą rozmowę z przedstawicielem jednej ze znanych grup: Co? Za 150 zł to ja się nie rozwijam. Za 300 zł i więcej to co innego.

— *A Elita?*

— Oni zaczęli robić forszę po stu-

diach i teraz już inaczej patrzą na imprezy organizowane przez studentów.

— *Wracajmy na studenckie podwórko. Liga* pokazała...*

— Chcesz zasugerować, że na imprezę, kiedy w grę wchodzi honor grupy, roku czy wydziału stać studentów na zrobienie dobrego programu, a na co dzień ich nie widać? Ale ja ich za to nie potępiam. Studia przede wszystkim, a zabawa to zabawa — w zależności od osobistych chęci. Owszem, mamy owoce Lig. Są grupy, które istnieją już kilka semestrów. Finansujemy je. Wiem, że niektórzy mają do nas pretensję, iż nie dostali od razu pieniędzy, ale powiedz, jak można dawać w ciemno pieniądze, zwłaszcza społeczne. Niech się wykażą, niech pokażą na co ich stać, a wówczas będzie inna rozmowa. Skoro już mowa o pieniądzach, to korzystając z okazji, chcę zasygnalizować dość istotny problem wielokrotnie utrudniający podejmowanie decyzji, mianowicie słabą znajomość dziedziny, która wymaga dofinansowania. Ja np. niewiele znam się na jazzie...

— *Zatem sugerujesz powołanie ciał doradczych, innymi słowy grup fachowców-weryfikatorów?*

— Musiałoby ich być wiele. Pewnym rozwiązaniem jest Rada Artystyczna skupiająca kierowników zespołów, grup twórczych, która ma spełniać tę rolę.

— *Czy już działa?*

— Ma powstać. Przyznam, że ze zniecierpliwieniem oczekuję jej inauguracyjnego posiedzenia.

— *Twoja ocena środowisk?*

— Wydaje mi się, że w tej chwili trzy decydują o studenckim życiu kulturalnym w kraju. Mianowicie: Warszawa, Kraków no i Wrocław.

— *A gdybyś miał porównać Polskę z zagranicą, zwiedziłeś przecież wiele...*

— Mamy specyficzne warunki działania. Doprawdy trudno będzie mi dokonać takiego porównania. Pokaż mi proszę na zachodzie instytucję, która będzie „ładowała” taką forszę w działalność kulturotwórczą jak u nas. Porównywać można tylko wówczas, gdy operujemy tą samą płaszczyzną odnośnienia, tzn. gdy baza i nadbudowa nie odbiegają wiele od siebie.

✱

Nic dodać, nic ująć. Dziękuję Adamowi za wypowiedź o interesującym nas wszystkich temacie i zachęcam innych do podzielenia się swoimi uwagami. Mówi się, że kultura studencka przeżywa swój kolejny kryzys, lecz czy tak jest w istocie. We Wrocławiu np. działa GEST, Kalambur, Teatr Instrumentalny, Chór Kameralny czy Górniczy. Zespoły znane już w całym kraju, a niektóre i poza jego granicami. Więc czy naprawdę jesteśmy w tyle.

Rozmawiał:

MAREK J. SZEWCZYK

* Z inicjatywy Komisji Kultury PWr. przed laty zainicjowane zostały boje GD Instytutów w „konkurencjach” kabaretowo-wokalistycznych, cieszące się do dziś dużym powodzeniem.

VERBA ET CONCEPTA

NIEFORTUNNY JEST JUŻ SAM TERMIN — *MEDIAEVI* — wieki średnie. Utworzony w czasach renesansu na oznaczenie okresu pomiędzy dwoma kulminacjami rozwoju kultury — okresem klasycznego antyku i jego Odrodzenia — swą treścią etymologiczną implikował negatywne wobec oznaczonego przezeń okresu nastawienie.

Zachwyceni na nowo odkrytą bogatą literaturą antyczną uczeni humaniści z pogardą odnosili się do skażonej prowincjalnymi naleciałościami, uproszczonej w stosunku do klasycznej wersji tego języka „łaciny pośredniej” — *media latinitas*. Także i dorobek sztuk plastycznych tego okresu w konfrontacji z dorobkiem antyku wydał im się sztuką nieporadną i prymitywną, i od nazwy jednego z barbarzyńskich plemion najeżdżających Cesarstwo Rzymskie został pogardliwie gotycką nazwany. Strzelistość gotyckich katedr uznana została za przejaw charakterystycznego dla barbarzyńców braku umiaru, w nieuznawaniu przez średniowiecznych malarzy perspektywy linearnej nie dostrzeżono zastosowania ciekawych środków formalnych lecz pospolitą nieporadność wynikającą z braku stosownych umiejętności.

Czasy późniejsze, czasy Oświecenia od tego negatywnego obrazu dołączyły jeszcze trochę czerni, tak iż prawie każdy wykształcony człowiek odruchowo uruchamia w swoim umyśle zbitkę pojęciową — „mroki średniowiecza”. Mało było nieprawości których by średniowieczu nie przypisano, w tym i te — znany to paradoks pamięci historycznej, które bez wątplenia w późniejszych okresach miały miejsce. I tak masowe procesy czarownic, rozpasanie Inkwizycji to zjawiska związane nie ze średniowieczem a właśnie z epoką nowożytną.

Nie miało średniowiecze szczęścia i do swych obrońców. Tak jak i jego oskarżyciele, myśliciele na ogół oświeceniowej proveniencji i oni zajmowali bezkrytyczne, ahistoryczne stanowisko. Pierwsi, spoglądając nań przez pryzmat XVIII-wiecznej rozumianej natury ludzkiej dostrzegali w nim okres, w którym wszystko urażało burżujsko rozumianemu „zdrowemu rozsądkowi”; drudzy, na ogół rzecznicy restauracyjnego konserwatyzmu widzieli je przez pryzmat turniejów trubadurów i heroizmu wypraw krzyżowych — barbarzyńskie ich momenty skrzętnie pomijając.

Do naszych czasów przetrwał, szczególnie hołubiony przez podręczniki szkolne ów obraz „mrocznego średniowiecza”, którego jedyną, acz i tak nie nazbyt eksponowaną załugą miało być przechowanie relikwiotów kultury antycznej, które po upadku Konstantynopola ułatwiły recepcję przywiezionych przez bizantyjskich uciekinierów pism starożytnych.

A przecież był to okres, w którym kielkowała nowożytna nauka, tworzyły się podwaliny współczesnego kształtu politycznego Europy, okres nie zawsze w dotatecznej mierze docenianej konfrontacji i wpływu kultury arabskiej na europejską. Zbyt łatwo zapominamy, iż ona właśnie spowodowała odrodzenie arystotelizmu — tak ważne dla późniejszego rozwoju myśli europejskiej — w różnych jego wersjach, od Sigera z Brabantu po Tomasza Akwinu, zbyt łatwo zapominamy o jej wpływie — widocznym choćby w algebricznej czy chemicznej terminologii na rozwój europejskiej nauki. Zbyt łatwo dajemy sobie narzucać obraz średniowiecza, jako epoki rozpasanego antyracjonalizmu: przecież słowa najostrzejszego potępienia rozumu („Rozum jest to największa k... diabelska; z natury swej i sposobu bycia jest szkodliwa k...; jest prostytutką, parwodziwą k... diabelską zeżartą przez świeżb i trad, którą powinno się zdeptać nogami i zniszczyć ją i jej mądrość...”) rzucił człowiek Odrodzenia — M. Luter. Tak ostre potępienie rozumu nie padło nigdy ze strony czolowego mistyka średniowiecza Bernarda z Clairveaux nb. niezwykle ciekawego od strony literackiej.

Dlatego też z radością i uwagą przyjąć należy każdą pozycję przyczyniającą się do lepszego zrozumienia tego okresu historycznego; w szczególności gdy nie jest po prostu jeszcze jedną pozycją *stricto* historiograficzną, tych — a niemała w tym zasługa i polskich historyków — mamy już sporo, lecz stara się wykroczyć poza tradycyjne ograniczenia warsztatu historycznego i przekazać nie mniejszą lub większą sumę faktów i ich *ad hoc* dokonywanych interpretacji, ale

stanowi próbę dotarcia do mentalności człowieka średniowiecza i jej społecznych uwarunkowań.

Niewiele mamy takich pozycji: wśród nich należy wspomnieć niedawno wznowione dzieło holenderskiego historyka J. Huizingi „Jesień średniowiecza” — bez wątpienia genialne, obciążone jednak wadą polemiki (stanowi ono respons na Burckhardta „Kulturę Odrodzenia we Włoszech”), nadto ograniczone jest do okresu schyłkowego średniowiecza i — co nie bez znaczenia — napisane z górą pięćdziesiąt lat temu. Niezwykle cenne pozycje, pisane jednak z nazbyt christianocentrycznego stanowiska stanowią również prace Ch. Dawsona.

Stąd tym większe znaczenie ma ukazanie się książki radzieckiego historyka A. Guriewicza „Kategorie Kultury Średniowiecznej”^{*)}, stanowiącej panoramę podstawowych kategorii kulturowych owego okresu w ich funkcjonowaniu społecznym. Dlatego nie są przedmiotem analiz autora nie mniej strzeliste niż katedry systemy średniowiecznych filozofów lecz mentalność „przeciętnego człowieka” — z braku lepszego posłużmy się tym, szczególnie w odniesieniu do średniowiecza niestosownym określeniem.

Nie jest to zapewne pozycja tak gładka w odbiorze jak wspomniane dzieło Huizingi. Standardowo wykształconemu humaniście sprawić mogą pewien kłopot początkowe jej partie, niemniej potrafi być lekturą frapującą szczególnie dla osób o wykształceniu przyrodniczo-matematycznym dzięki temu, że znaczna jej część poświęcona jest funkcjonowaniu kategorii czasu i przestrzeni (kluczowych dla zrozumienia każdej kultury) w świadomości ludzi średniowiecza. Lektura tych partii książki unaoznacza nam jak olbrzymi wysiłek kulturowy potrzebny był do wypracowania i upowszechnienia przekonania o linearności czasu, tak obcego i myśli starożytnych Greków przy ich predylekcji do cyklicznego ujmowania wszelkich zmian a tym samym czasu (np. Platon, stoicy) i wyobrażeniom barbarzyńskich plemion w owym okresie wciąganych w orbitę ogólnoeuropejskiej kultury. Wysiłek ten był tym większy, że samo chrześcijaństwo na gruncie którego koncepcja czasu linearnego została wypracowana (pod przemożnym wpływem św. Augustyna) nie potrafiło konsekwentnie przezwyciężyć cyklicznego jego pojmowania. Stąd konflikt między linearnością dziejów w ogóle a cyklicznością roku liturgicznego, stąd wreszcie anachronizm ówczesnej historiografii — nie pospolity błąd, jak chcieli zacietrzewieni krytycy średniowiecza, lecz wynik ogólnego systemu wartości i przekonań.

Najpospoliej używanym modelem feudalizmu jako systemu społecznego jest „drabina stanów” rozciągająca się od najwyższego szczebla, który stanowi suweren poprzez różnego szczebla wasali do najniższego jakim jest poddany chłop. Model ten nie zdaje jednak sprawy z wielorakości zwrotnych powiązań pomiędzy poszczególnymi stanami, a co najważniejsze kamufluje tak istotną w średniowieczu funkcję prawa — wszechogarniającego, powszechnie obowiązującego wszystkie stany i jednostki od najwyższego do najniższego szczebla.

Przysięga lenna — bez względu na szczebel — była umową nakładającą na obie strony określone prawa i obowiązki, a gwarantem jej egzekucji (prawda, często bezsilnym) była zbiorowość do której przynależała jednostka. Dlatego pojęcie wolności było pojęciem stanowym: to stany (miasta, korporacje) nie poszczególne jednostki upominały się o swoje wolności tj. zagwarantowane, wypracowane przez siebie prawa.

Na wolność rozumianą jako nieskrępowana autonomia jednostki wynikająca z jej „natury” przyjdzie czas później — gdy gospodarka towarowo-pieniężna rozsądzi średniowieczne formy organizacji społecznej torując burżuazji drogę do władzy. Nie odbędzie się to bez walki: Jakby przeczuwając śmiertelne zagrożenie już głębokie średniowiecze od początku przeciwstawił się w różnoraki sposób nowo powstającym formom gospodarowania, poczynając od podkreślenia służebnej roli własności (bogactwo ma „służyć, a nie panować” — św. Tomasz) do surowego zakazu pożyczania pieniędzy na procent, omijanego zresztą powszechnie.

Ogólne przeświadczenie, iż dzieła naprawdę wielkiej humanistyki stanowią interesującą lekturę dla wszystkich, bez względu na ich profesjonalne wykształcenie znajduje dzięki książce Guriewicza raz jeszcze potwierdzenie. Niemała w tym zasługa i tego, że cechuje autora prawdziwie marksistowski sposób podejścia do stawianych problemów. Nie znajdziemy w „Kategoriach Kultury Średniowiecznej” uproszczeń i bezpłodnych deklaracji ideologicznych, licznych a ozdobnikowo traktowanych cytatów z klasyków marksizmu lecz rzeczywistość całościowe ujmowanie zjawisk społecznych w ich ścisłym powiązaniu ze społeczną praxis.

RYSZARD GWIŹDŹ

*) Aron Guriewicz „KATEGORIE KULTURY ŚREDNIOWIECZNEJ”, PIW, Warszawa 1976.



student się śmieje

Włodzimierz Kalicki

KABARET W POLSCE TO RZECZ trochę dziwna. Normalnym ludziom do normalnego życia potrzebne jest trochę śmiechu, trochę ironii, dystansu do codzienności. Więc — kabaret. Normalnym, inteligentnym ludziom potrzebny jest normalny, inteligentny kabaret. Paradoks polega na tym, że ludzie mamy przeciętnych, ale kabaret zdecydowanie zły. Z prawa wielkich liczb wynika, iż musi się na jakiś czas zdarzyć zespół wybitny — był więc Salon Niezależnych, Elita, Pod Egidą. Na rzeczywistość składały się jednak przede wszystkim okropne trupy objazdowe z pijanymi konferansjerami, zdegenerowanymi „iluzjonistami” i ex-szansonistkami z zachrypłymi od „czystej” gardłami. Po knajpach czaiły się podejrzanе grupy „artystów kabaretowych”, na plus których zapisać można tylko jedno —

nie rozpoczynali programu dopóki goście byli trzeźwi. Radio i telewizja pieczołowicie i demokratycznie rozrywały swą klientelę dowcipami Kierdziołka, Frico, Coco, wdziękami baletów, w których członkinie równo robiły wszystko, z wyjątkiem tańca, a całość w reżyserii niezawodnego p. Michotka. Terror ten dotyczył nas wszystkich, z tym że studenci zawsze mogli liczyć na kabaret studencki. Brylantowe Spinki, Tey, Pod Altaną, Gralak Marian i wiele innych firm było podówczas ostoją zdrowego rozsądku, krytycyzmu, kultury i szacunku dla widza. Pójście na występ kabaretu studenckiego było przygodą intelektualną a nie gastronomiczną.

Dziś szeregi tych zespołów zostały mocno przerzedzone. Także jakby i różninicy z państwowych estrad i knajp stracili trochę tupetu. Na studiach po-

jawiała się młodzież inna od tej, którą pamiętamy sprzed dwóch czy czterech lat. Inne ma zwyczaj, stosunek do kultury, ambicje wreszcie. Swą inność w najlepiej rozumianym sensie, udokumentowało to nowe pokolenie w teatrze. Tegoroczny Festiwal Teatrów Debiutujących START postawił widzów przed dokonaniem naprawdę wysokiej rangi artystycznej. Z tym większą uwagą należało się zatem przyjrzeć debiutanckim kabaretom.

Okazje były po temu dwie. Najpierw we Wrocławiu, w klubie AR „Katakumby” odbył się środowiskowy przegląd warsztatowy kabaretów studenckich. W dniach 10—12 marca w Krakowie najlepsze zespoły z całej Polski zmierzyły się na KIKS-ie, Konkursie Inicjatyw Kabaretów Studenckich. Obie te konfrontacje były naprawdę wstrząsające, niestety nie w tym sensie w jakim wstrząsały występy Kleyffa i Tarkowskiego. O imprezie wrocławskiej na dobrą sprawę nawet trudno pisać. Poziom niemal bez wyjątku był nawet nie tyle beznadziejny, co po prostu obrażający widza. Trudno omówić poszczególne produkcje, tak bliźniaczo były niedobre. Zresztą i dziennikarza po takim przeglądzie nachodzi refleksja, iż błogosławieni ubodzy duchem i zwykła ludzka życzliwość zabrania ujawniania nazwisk tych „artystów”. Składanki dowcipów gastronomicznych (szynka!), męskodamskich (prezerwatywa!), politycznych (milicjant!) prezentowane w „Katakumbach” zaprawdę tylko jednym różniły się od programów przy rajdowych ogniskach — były znacznie

głupsze. Wszystkie elementy bycia estradowego znalazły swe antytezy w akcjach wrocławskich „kabarecistów”: fatalny sprzęt, fatalnie wysterylizowany i eksploatowany, brak głosu i poczucia rytmu u wykonawców, nieumiejętność ruchu estradowego, brak wreszcie, o zgrozo, poczucia humoru i inteligencji, wypłoszyły skutecznie wszystkich gości. Jednego tylko z pewnością na scenie nie zabrakło: odwagi. Sęk w tym, że mając w zanadrzu tylko odwagę najlepiej chwycić za karabin i udać się do ataku na wraże okopy, zaś mikrofon należy omijać z daleka. Osobiście w całej tej historii najbardziej martwi mnie fakt, iż nie znalazł się nikt, kto po męsku wysłałby tych dowcipniszów do księżek albo do wojska i położył tym samym kres smutnej komedii pomyłek.

Przejrzawszy program imprezy krakowskiej odetchnąłem z ulgą, iż nie znalazł się w niej żaden zespół wrocławski. Nie na długo jednak. Połowa z prezentowanych grup z powodzeniem mogłaby zmierzyć się z tutejszą konkurencją. Kabaret „Pajak” zanudzał wszystkich ograniczonymi chwytami: niby to przypadkowego widza włączającego się do akcji, opowiadaniem swojego życiorysu itp., wypełnionych nudnymi, łopatologicznymi wywodami nt. naszej rzeczywistości. Brylowała oczywiście szynka, której nie ma, węgiew, który podobno nie wiadomo gdzie jest wywołany i stopa życiowa, która rośnie. Krakowski „Co” i łódzki „Kogut” zaatakowały natomiast Irenę Dziedzic, tylko że nie bardzo wiadomo za co. Wyszczona została zła jakość papieru toaletowego i zespół folklorystyczny

„Mazowsze”, też nie wiadomo za co. Po takich produkcjach można było z całym przekonaniem powtórzyć za reporterzystą Jackiem Stworą: wódka to dobry wynalazek!

Z zalewu bezsensu i głupoty tym jaskrawiej odbijały trzy pozytywne propozycje wyróżnione zresztą w werdykcie jury.

Jeśli na występie kabaretu nikt się nie śmieje, znaczy to iż występ jest bardzo dobry. Podczas prezentacji programu Stanisława Klawego i Stanisława Zygmunta, czyli warszawskiego „Piosenkariatu”, nikt się nie śmiał. Ci che, jakby nie dopowiedziane piosenki, pozornie niespointowane dialogi, czysto ograniczone rekwizyty zmuszały do myślenia, a nie do śmiechu. Nastrojowy, jakby odrobinę podobny do poetyki Okudżawy lub Wysokiego klimat ich śpiewań przesycany jest gorzką refleksją nad naszą kondycją. Totalna nieufność wobec wszystkiego — świata, idei, układów, kabaretu i samych siebie wreszcie sprawiają, iż ci dwaj młodzi ludzie potrafią zdumiewająco prostymi środkami demaskować fałszywe wielkości. Prawdziwy kabaret robią ludzie mądrzy, a nie dowcipni.

„Adios Muchachos” z Częstochowy usteępował „Piosenkariatowi” wyraźnie, choć i oni byli świadomi do kogo się zwracają i o co w ich wypowiedzi chodzi. Występ to był bardzo nierówny, choć miejscami zaskakujący celnością społecznych diagnoz i ostrością widzenia. Godny jest też podkreślenia dość dobry warsztat i spora muzikalność wykonawców, zalety na krakowskim przeglądzie, bardzo rzadko spotykane.

Nie najlepsza sala Centrum Klubowego „Rotunda” spowodowała, iż barćzo ciekawy krakowski kabaret „Protekst” wypadł na przeglądzie dość blade. Miałem jednak możność oglądać ich program „Tam, gdzie rośnie entropia” na dużej scenie teatralnej, gdzie zaprezentowali się wręcz znakomicie. Jest to kabaret bardzo specyficzny, literacki z wyraźnymi ciągotami do wprowadzania w swe programy dyscypliny stricte teatralnej. Z tym wszystkim jest on bardzo krakowski, jakoś bliski tradycjom i klimatowi boyowskiego „Zielonego balonika”. Wielka dbałość o słowo, o czytelny i przejrzysty ruch sceniczny, o wewnętrzną logikę rozwoju sytuacji pozwalają oglądać ten program z prawdziwą satysfakcją, choć do intelektualnej nośności i ważkości „Piosenkariatu” jest im jeszcze daleko.

Wszystkie te trzy propozycje łączyły zaś jedno — szacunek dla widza. Twórcy widzieli w studentach partnerów do intelektualnego dialogu i wygrali na tym. Stworzyli programy godne prezentacji publicznej. Stworzyli także coś więcej; nadzieję na lepsze jutro studenckiego kabaretu. Wbrew zalewowi szmiry, głupoty i beczelności. To zaś co na obu tych przeglądach bardzo niepokoiło, to fakt, iż i w Krakowie i we Wrocławiu znalazło się sporo indywidualów z indeksem w kieszeni, cieszących swe organizmy najprymitywniejszymi, jarmarczonymi dowcipami, wychodzących zaś przy propozycjach ambitniejszych. Czyżby lata wychowania zaczęły robić swoje?

WŁODZIMIERZ KALICKI

Eugeniusz Dębski

Fot. Z. TRZCIŃSKI



SAM FAKT ŻYCIA W SPOŁECzeństwie narzuca człowiekowi całą masę różnego rodzaju ograniczeń, zakazów i nakazów. Denerwują nas one, męczą, ograniczają swobodę. Dążymy do zrzucenia tych pęt, a jednocześnie sami narzucamy sobie jeszcze jedno ograniczenie. Uważam, że można użyć tego określenia w stosunku do przesądów. Jeśli, rzucając sprawunki chwytały się za guzik, osłaniamy dzieci przed „złym okiem”, spóźniamy się do pracy z powodu czarnego kota, to czyż nie jest to pewną formą spędzania własnej wolności? Nie usprawiedliwia nas fakt, że forma ta wykształciła się w zamierzchłej przeszłości, gdyż nie zatrzymała się w rozwoju, a wprost przeciwnie — rozwija się. Listę wzbogacając coraz to nowe, można powiedzieć „współczesne” przesady, dotyczące zjawisk stosunkowo młodych. Zmienia się więc zarówno ilość jak i charakter przesądów. Ilość — ponieważ rzadko jakiś przesąd traci na aktualności. Nie utraciły mocy kominiarz, trzynastka, wstawianie lewą nogą, kot przebiegający drogą, a nawet wieszanie na dzieciennym łóżeczku czerwonej wstążeczki „od uroku”. Co prawda, przynosząca pecha kobieta z pustymi wiadrami nie ma już tej mocy co paręnaście lat temu, ale wynika to wyłącznie z faktu, że już z wiadrami nie chodzi. Gdyby nie woda w każdym mieszkaniu, przesąd pokutowałby nadal. Niewątpliwie bardziej materialistyczne podłoże ma fakt zanikania innego zabobonu. Chodzi o tzw. „zapatrzenie się” ciężarnych kobiet. Dzisiaj wolno patrzeć na pożary (co wiązało się kiedyś z czerwonymi

plamami na ciele dziecka), murzynów (wiadomo, co z tego wynikało), pijaków i innych dziwolągów. Wprawdzie babcie usiłują jeszcze czasami straszyć „zapatrzeniem”, ale są to wypadki sporadyczne.

Przesady są niewątpliwie wytworem, tak ogromnej kiedyś, zależności człowieka od sił przyrody. Ponieważ przesady utrzymywały się do dziś, można wysnuć wniosek, że nie zależą one ani od poziomu owej zależności, ani od poziomu wykształcenia, ani w ogóle od niczego. Po prostu były, są i chyba będą. Nie ominęły również społeczności studenckiej. Nic w tym dziwnego. Każda, w jakiś sposób zamknięta, grupa społeczna tworzy własną obyczajowość, tradycję, atmosferę, kulturę nieomalże. Podobnie rzecz ma się z przesadami. Poszczególne grupy mają własny zestaw przesądów; czego innego boją się piloci, czego innego aktorzy, jeszcze czegoś innego lekarze. Wiadomo, czego boją się studenci — egzaminów. Dlatego też przesady studentów są ściśle ukierunkowane: właśnie na egzaminy. Zaznaczyć należy, że do tych potrzeb zostały zaadaptowane przesady-klasyki, ale powstały również przesady nowe, charakterystyczne dla społeczności studenckiej. Nie przesadzę mówiąc o społeczności, albowiem tylko nieliczne jednostki polegają wyłącznie na swojej wiedzy.

Oprócz masowości, charakterystyczne dla tych przesądów jest ich przenikanie z uczelni do uczelni. To, co dzisiaj było stosowane przez pigularzy z Łodzi — jutro stosują wuściści z Katowic. Elektrycy z Gdańska wierzą w to samo co i romanisci z Wrocławia.

Zrozumiałe: wszyscy muszą zdawać egzaminy i trzeba się jakoś przed tym bronić. Mam nadzieję, że podane niżej przykłady pozwolą rozszerzyć asortyment stosowanych przesądów i, co za tym idzie, zdawać egzaminy na maksymalnym luzie.

„Stosowanie” przesądu jest bardzo proste. Ogranicza się do robienia lub nierobienia czegoś. Nie wolno (jeden chyba z najstarszych przesądów, zapożyczony z „repertuaru” lotników) żyć bez powodzenia przed egzaminem, ani tym bardziej dziękować za takowe (jeśli ktoś się aż tak wygłupi). Należy przed egzaminem unikać zakonnicy, a właściwie zakonnicy, ponieważ pecha przynosi jedna. Dwie i więcej — mrowane powodzenie! Do równie starych należą: kot przebiegający drogą i związane z nim trzykrotne splunięcie przez lewe ramię oraz kominiarz (co raz mniej skuteczny). W sumie są to przesady o zdewaluowanej już wartości, pokutujące raczej na zasadzie tradycji niż wiary w ich skuteczność.

Dużo ciekawsze są te nowe, typowe produkty studiów. Do najstarszych (bo z lat pięćdziesiątych) należy chodzenie na egzamin w czystej bieliźnie. Rzecz ciekawa, jeden z respondentów, dr K. twierdzi, że odnosi się to wyłącznie do kobiet, albowiem mężczyźni zawsze chodzą w czystej bieliźnie. Jego żona uważa, że chodzi o mężczyzn, bo kobiety... itd. Przesąd ten powstał w trudnych powojennych latach i dzisiaj, w dobie przelotu „E” i pralek automatycznych, stracił na popularności. Istnieje jednak pewien współczesny wariant tego przesądu. Dowiedziałem się, że do- brze jest iść na egzamin w pożycz-

nych dessous, jeszcze lepiej — w skradzionych. Ze zrozumiałych względów popularniejszy jest wariant pierwszy. Nie wiem tylko czy pożyczka należy bieliznę od osobnika tej samej płci, czy płci odmiennej. A może pożyczka i taką i taką?

Ubiór w ogóle jest bardzo ważnym czynnikiem pomyślnie zdanego lub oblanego egzaminu. Absolutnie nie wolno iść na egzamin w nowych butach. Nie chodzi tu o wygodę, choć może od tego się zaczęło. Dotyczy to przede wszystkim kobiet, które w pogoni za efektownym wyglądem ryzykują oblanie. Nowe buty — to straszliwy jonaś. Lepiej więc wyjść na dziada, niż z dwóją.

Obowiązkowo należy pożyczyc na egzamin pióro lub długopis. Stosunkowo łatwo jest odtworzyć proces powstawania tego przesądu. Powstał w czasach, charakteryzujących się dużą zawodnością przyborów piśmienniczych. Idąc na egzamin należało się zabezpieczyć przed awarią sprzętu. W miarę polepszania się jakości tych przyborów — utraciło to znaczenie jako zabezpieczenie materiałowe. Nabierało więc cech przesądu i takim zostało.

Ważne są również inne detale garderoby. Prawie każdy ma taki fragment stroju, który przynosi mu szczęście na egzaminie. Znam panią, która wszystkie egzaminy zdawała w tym samym swetrze. I to bez względu na porę roku i pogodę. Niestety. W ciągu pięciu lat intensywnego eksploatacji sweter uległ daleko idącemu zniszczeniu i w rezultacie na obronę pracy magisterskiej pani ta musiała iść w niespraw-

dzanej nowej bluzce. Ile nerwów ją to kosztowało!

Osobiście miałem kiedyś nieprawdopodobnie brzydki krawat, który pożyczalem (oczywiście za wynagrodzeniem) kolegom na egzaminy. W ciągu około trzech lat zdało w nim pomyślnie egzaminy chyba ze czterdzieści osób. Z reguły bardzo źle przygotowanych. Nie pomógł on niestety studentowi psychologii na egzaminie z języka rosyjskiego. Krawat stracił, rzecz jasna, wszystkie właściwości magiczne, a ja źródło całkiem niezłych dochodów.

Podobną rolę, jak fragmenty ubioru, spełniają różnego rodzaju maskotki, amulety. Mogą to być zarówno kupowane laleczki, koziołki, krówki, pajacyki, diabełki, pajęczki, pierścionki, sygnety, obręcze, wisiorki, broszki, klipsy, jak i różne przedmioty znalezione, skradzione czy otrzymane w podarunku: monety, zapalniczki, breloczki, pestki owoców południowych, łuski po nabojach, kulki szklane, a nawet kołki ze Sportów. Czasami są one w rzeczy samej przeznaczone na amulety,

czasami odkrycie ich właściwości magicznych nastąpiło przypadkowo. Niekiedy utrafia się od razu we właściwy fetysz, innym razem — dopiero po kilku bolesnych zawodach. Wiara w nadprzyrodzone właściwości pewnych przedmiotów jest najbardziej rozpowszechnionym przesądem.

Przykładem bardziej wyrafinowanego przesądu jest przesąd „wzrostowy”, pokutujący w Politechnice Wrocławskiej. Polega on na tym, że jeśli do pokoju egzaminatora wchodzi równocześnie kilka osób o różnym wzroście i przypadkowo ustawia się według wzrostu (nie ważne jak, malejąco czy rosnąco), to obowiązkowo oblewa osoba stojąca w środku szeregu. Dotyczy to oczywiście grup o nieparzystym składzie.

Jeszcze innym przykładem przesądu z PW jest przekonanie, że osoba wchodząca jako trzecia na egzamin jest z góry przegrana. Oczywiście nie wszyscy o tym wiedzą. Inaczej egzamin kończyłby się na dwóch osobach. Wariantem tego przesądu jest przeświadczenie, że w wypadku kiedy na egza-

min wejdą trzy osoby o różnym wzroście i ustawia się według wzrostu — wszyscy dostają dwóje. Wynika z tego, że należy wiedzieć z kim się wchodzi na egzamin i jak się do tego egzaminu ustawić. No i pomyśleć należy jak wejść do sali egzaminacyjnej — broń boże przekroczyć próg sali prawą nogą. O konsekwencjach lepiej nie mówić.

Mam nadzieję, że teraz już wiadomo czego się na studiach trzymać i co jest na nich najważniejsze. Nawet najwięksi racjoniści nie powinni lekceważyć przesądów. Na ziemi wiele jest jeszcze rzeczy, o których się nawet filozofom nie śniło.

P.S. A swoją drogą, studenci wyższych uczelni wojskowych nie wierzą w żadne przesady, a efektywność nauczenia (stosunek kończących studia do przerywających naukę) jest tam o wiele wyższa niż na uczelniach cywilnych.

EUGENIUSZ DĘBSKI

Niech się pisze

Andrzej Saj

RZADKI SŁÓW, ZDANIA, POTOK ZDAŃ... Zarodek myśli, jej pęcznienie, ewoluowanie, wykwiwanie, wynaturzenie, spotwornienie, rana rozogniona... Ból, który nicuje się na tę drugą stronę: jest kilka zapisanych słów. Więc tak pisać, by się zapisać: wryć, wytrawić, jątrzyć, kłuć, drażnić, zapamiętywać...

Ale chciałbym także odczytać myśl inną, terapeutyczną: jest inna — z zapisania — przyjęta jak pastylka na uśmierzanie albo pobudzenie. Są słowa lecznicze, wzmacniające, narkotyczne, jest ich tyle ile sposobów przeżycia, użycia... Tak, jak powinno być: nadmiernie, po ludzku, w obszarze międzyludzkiej komunikacji: i kilku komunałów i banałów i śmieszności i żalu i powagi i wiele takich... Albo błąd w zdrowieniu i powiedzą: zapisał się na śmierć, na wieczne pamięci zapomnianie albo zapamiętywanie zapomniania albo... Więc chodzi tu o to samo, o rodzaj sztuki, jej postać, jej określenie, wyraz najcelniejszy. Jaki jest, jak jest?

Niech się pisze! Niech się wyraża w formach niedościgłych, w słowach dobiera i rozpiera. Niech sztuka wystawia sztukę, pisze sztukę, sztuki słowo.. Myślę więc także o pisaniu, o potrzebie i zbędności pisania, o konieczności (manii) i uzdrawianiu, o pisujących i o piszących, o krytyce. Ten uraz zachowany z powodu niedoświadczenia pewnych przejawów rzeczywistości, jej gry, maski.

Wielu oddanych i oddających się pisaniu: z potrzeby, dla zarobku. I dobrze, ci ostatni są niemniej uczciwi (jeśli może być nieuczciwy sposób zarobkowej pracy?). Niech się im wszystkim drogo pisze. Tym drożej im kosztowniejsze pisanie, im droższe słowa, cenne, nieprzeliczalne. Lecz, ile może być takich słów, ileż tego bogactwa? I któż go pozbywa się, kto z tych skrzętnych w gromadzeniu, w pielęgnowaniu rzadkich okazów, który z właścicieli nieodkrytych ziem, jeszcze niesplądrowanych. To przecież oni — posiadacze — najchytřejsi, najoszczędniejsi, zamknięci na kilka szyfrów. Jak dobrać się do nich, za pomocą jakiego klucza? Ile trzeba znać słów magicznych, zaklęć, z jakim czuciem, wrażliwością przystępować, ile trzeba czasu poświęcić i serca?

I nagle pojawia się krytyka — ci osobiwi, do wynajęcia, z marginesu sztuki, literatury. Ciągłe głodni, niesyci bogactwa i przywilejów, ograbieni przez naturę z powabu

i wrodzonych umiejętności, pozostający wyłącznie wyrobnikami, najemnymi akcjonariuszami pewnego kapitału wiedzy. Nie mają oni czasu na celebracje, domysły i subtelności. Wyszukują odpowiedni łom i po prostu wyłamują zamek lub wyrwają go przy pomocy kilku wybuchowych, fajerwerkowych sposobów. Dobierają się do środka i wyciągają na wierzch swymi długimi łapami pogruhotane kosztowności. W najlepszym razie, jeśli nie pozbawieni są choćby odrobiny umiejętności, przywłaszczają to, co tym samym faktem zdążyli już pozbawić subtelnej polichronii, blasku który dają właściwości naturalne wnętrza, jego organicznego wysycenia; tej ingerencji w jednorodność i niepowtarzalność aktu twórczego. Obnoszą pośród kompanów swą zdobycz. Jest wtedy bal u złodziei, leją się epitety, pojęcia i bezpojęcia, nazwy wyborne, toasty. Chyba z niejakim zażenowaniem uczestniczą w tym nieliczni: znawcy, kolekcjonerzy, doradcy.

Każda twórczość — by była — musi być weryfikowana i sprawdzana wobec, względem... (Musi choć nie musi). Stąd wielość kryteriów, które są usprawiedliwione choćby indywidualnością adresata i nadawcy. Bowiem relacja między wytwórcą a odbiorcą jest tak zamotana, że często nie wiadomo, kto jest kim, kto daje a kto bierze, a może obie strony z atencją pochylają się nad źródłem fascynacji lub niechęci. Właśnie: wrogość, odrzucenie, brak akceptacji — naturalność w sztuce tych gestów...

Kim jest kityk w tym zbiorze? Czy odbiorcą o specjalnym rodzaju potrzeb, czy twórcą o specjalnym rodzaju spełnień, czy kimś pośrednim: rajfurem, komiwojażerem, bookmacherem...? Jeśli twórczym odbiorcą — to bez tej formy pośredniczenia, w której interes zabija smak, polityka ideę. Lub kimś ponadto, ponad tym przekupnym sądem grupy, tendencji, dążeń. Jak bowiem osądzić złudę i piękno, pragnienie i sen? Jak osądzić winę niewinnych i niezawiniony grzech? Jak to wszystko ułożyć: gdzie smak a gdzie kicz, gdzie dobre a gdzie złe? A przecież nigdzie jak w sztuce bezwzględność tych sądów jest tak oczywiście niezbędną, tak immanentną dla sztuki, że pozostaje niewyczuwalna, nienahalna, mimo surowości, mimo błędów, które popełnia się. Żaden osąd nie jest ostateczny, nie jest jedyny choć wyłączny, choć jeśli szczerzy, prawdziwy, jako że sądzić wolno, każdy może być oceniającym, tylko nie każdy może być ocenianym. Nie każdy może być oceniony i wyceniony, nie wszystko jest w cenie, nie wszystko jest walorem.

Myślę tu o pracy jubilera, o jego sztuce wydobywania formy z bezkształtu, rzadkiej umiejętności wnikaania w strukturę, w nerw nieoszlifowanych kamieni, wbudowywania ich w stosowne oprawy. Myślę o tych znawcach przedmiotu, przenikających tajemnicę i tajemniczość, o tych co je odkrywają ale także tworzą, tych którzy do wartości dodają nowy walor: dowartościowują i... przewartościowują. Myślę o takiej krytyce, jej sądzić sztukę, sztuką wspieranej.

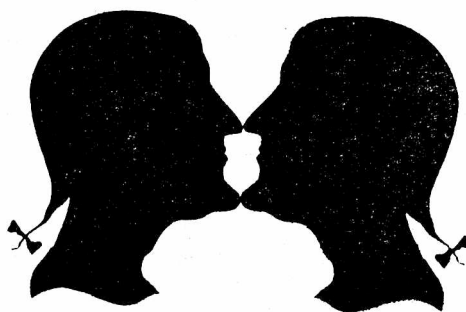
Niech się pisze: sąd obosieczny, sędziowie ponoszą karę, winni ferują wyroki. Prawo sztuki jest nadto bezprawiem, stąd jej anarchia a także ład i porządek, wszystko co może być własnym zaprzeczeniem, co może być wyborem właśnie wbrew przyjętym kanonom.

DAWNO TEMU — TO NIE BAJKA — pojęcie „półinteligent” dotarło do półinteligenta. Był to sygnał, że wyżej wymienione pojęcie opadać będzie coraz niżej zgodnie z prawem, o którym można mówić różnie, a Kopernik powiedział, że zły pieniądz wypiera dobry. Inaczej mówiąc — też prawo — raz puszczane pojęcie puszcza się bez przerwy. Trzeba też zaznaczyć — bo umknąć może ta drobnostka — że w ustach półinteligenta pojęcie półinteligent ma wartość ćwierćinteligenta. Dzięki gravitacji, która działa bez wytchnienia również na inteligencję, ćwierćinteligent porażony swoją umysłową wielkością powiedział w natchnieniu do swojej żony: „Ty półinteligencjo”. Był to historyczny dzień, choć dokładna data jest nam nieznana, więc zamiast daty przypominamy tylko, że żona, do której zwrócono się ze słowami otwierającymi nowy rozdział, to była jedna ósma. Na tym się, oczywiście, nie skończyło, mimo wszystko do dna jeszcze daleko, wyobraźmy sobie zatem, jak głupek ironicznie się uśmiechając, mówi o imbecylnym: „To półinteligent”, a imbecyl, śliniąc się sarkastycznie o idiotę: „Z nim nie warto rozmawiać, to półinteligent, nawet nie potrafi się sam załatwić”.

Ten sielski i dobroduszny obrazek z pierwszego akapitu zbyt jest piękny, aby był zupełnie prawdziwy. Każdy bowiem z tych ułamkowych inteligentów mianem swojej połówki określa nie tylko od siebie w dół, ale i w górę, i w tym kierunku znacznie częściej. I tu się sprawa komplikuje. Półinteligent wyzywa od półinteligenta całego inteligenta. Założmy: pewien pan, od którego wiele zależy, zna półinteligenta jako półinteligenta i słyszy, co ten mówi o całym inteligencie, którego wszelako nie zna, więc myśli sobie, że cały inteligent jest (proste obliczenie arytmetyczne) ćwierćinteligentem. A co się dzieje, jeśli ten pan jest ćwierćinteligentem? Co on sobie wtedy myśli? Myśli sobie, że półinteligent to półinteligent, co się może wydać prawdziwe, a cały inteligent to też półinteligent, ale gdy opinię tego pana usłyszy inny pan, od którego jeszcze więcej zależy, pomyśli sobie: „Skoro ten ćwierćinteligent mówi o tych facetach, że są półinteligentami, to znaczy, że oni są jedna ósma”. A jeśli ten pan, od którego jeszcze więcej zależy, jest jedna ósma?

I tak dalej, i tak dalej.

Coraz więcej osób upija się z nadmiaru nie wykorzystanej inteligencji (prawo równania do czoła). Różnice się zacierają (prawo naczyń połączonych). Żeby do reszty skomplikować i tak już dostatecznie skomplikowane zagadnienie, trzeba powiedzieć, że nie istnieje coś takiego, jak cały inteligent. Może on istnieć tylko teoretycznie i tylko na użytek teorii. Praktycznie mógłby się bowiem znaleźć ktoś dwukrotnie mądrzejszy od całego inteligenta, który automatycznie stałby się półinteligentem. Gdybyśmy się upierali, żeby cały inteligent nadal nim został, a ten dru-



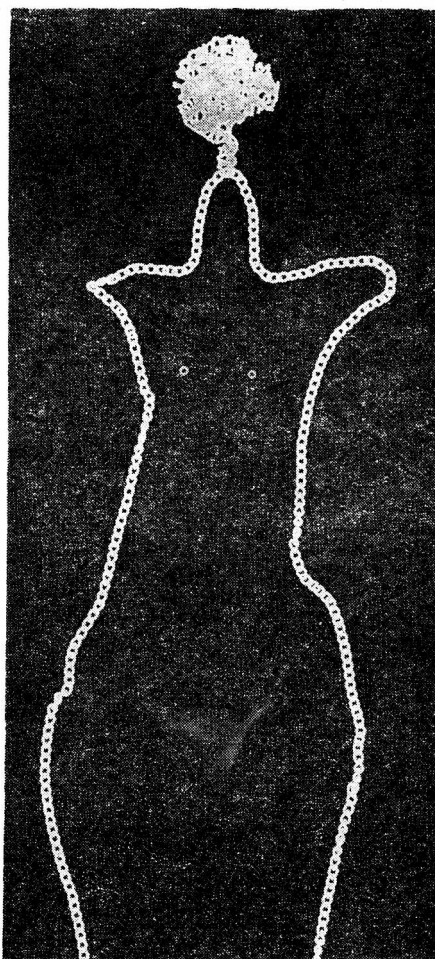
PRZEWODNIK PO MANOWCACH

MAJDA

Andrzej Więckowski

gi, żeby był podwójnym inteligentem, trzeba by od razu założyć także podobnych, poczwórnych, etc., a więc doszłoby do tego, że cały inteligent jest zerem, do czego raczej nie należałoby na razie dopuszczać. Podsumowując

Fot. M. STANIELEWICZ



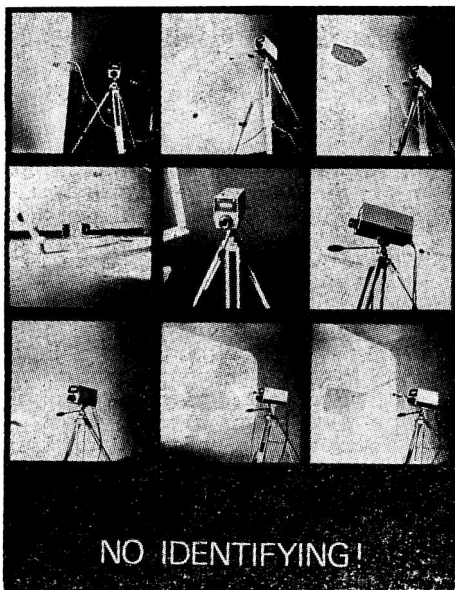
tedy, powiemy sobie, że praktycznie możemy wyznaczyć tylko minimum inteligencji potrzebnej do określonego zajęcia. Na przykład minimum inteligencji potrzebnej, żeby być polonistą, to taka jej ilość, która przejawia się umiejętnością czytania i pisania. Jeżeli w tym momencie wydaje się, że jest to zbyt minimalne minimum, to nie trzeba się tym martwić, niedługo bowiem będzie zbyt maksymalne. Znam polonistkę, uczy dzieci polskiego w szkole, która błędy stylistyczne i gramatyczne robi w sposób tak naturalny jakby to był ruch robaczkowy jelita, natomiast błędy ortograficzne są u niej czymś tak organicznym jak ręka, którą kreśli niewyrobionym piśmem kulfoniaste bazygroły. Na studiach miała piątki i czwórki. Jedyną trójkę miała z łaciny. Inna znów polonistka, też uczy, skłonna jest przychylić się do twierdzenia, że „Balladynę” napisał Mickiewicz, jeżeli twierdzenie to wypowiedzieć dostatecznie przekonująco, a Kochanowskiego umieszcza w Oświeceniu. Powiada też często ta zacna dziewczyna: „Myła mi się ci wszyscy pisarze, tyłu ich było, że aż głowa boli”.

Dobre studentki zostają nie tylko nauczycielkami, niektóre z nich zostają dziennikarkami. Przecież nie chcę powiedzieć, że każdy zły dziennikarz to dziennikarka, faktem jest jednak, że znam kilka dziennikarek o dużych walorach urody niewieściej i bardzo przy tym wszystkim sympatycznych, które z dużą wprawą informują czytelników o zmieniających się cenach warzyw i z podziwu godną fachowością przypominają powołanym do pamiętania o tym, że znów zima nadeszła i coś białego z nieba leci. Nie, nie o nich chciałem mówić, mimo całej malowniczości ich pracy. Oto przykład bardziej typowy. Wojażując po Polsce, natknąłem się w dużym mieście Wrocławiu na kierowniczkę działu kultury tygodnika o sporym, a nawet dużym nakładzie. Namawiając mnie do współpracy, zaproponowała, abym pisał wywiady ze znanymi ludźmi. „Tylko, wie pan, z naprawdę znanymi. Z takimi wywiadami jest kłopot. Widzi pan, przynoszą mi tu jakieś wypociny, wywiad z jakimś Piwzkowskim czy Piwowskim. Kto o nim słyszał? Wywiad ma sens wtedy, jeśli jest przeprowadzony z kimś naprawdę znanym”. Powiedziałem: „Mogę w takim razie zrobić wywiad dla pani z Wajdą albo z Bergmanem”. Spojrzała na mnie podejrziwie: „Bergman, Bergman, a co on teraz porabia?” Powiedziałem: „Nic bliższego na razie nie wiem, pewnie siedzi w Szwecji i coś nowego obmyśla”. Uśmiechnęła się wyrozumiale: „Patrzcie, patrzcie, w Szwecji siedzi, nieźle się urządził, ale właściwie lepiej byłoby przeprowadzić wywiad z tym Majdą”. Powiedziałem: „Pewnie że lepiej, nie trzeba będzie jechać do Szwecji”. Roześmiała się serdecznie: „Oj, filut z pana filut. No to rób pan ten wywiad z Majdą. Wydał on coś ostatnio?” Powiedziałem: „Nie wiem, może i wydał. Myśli pani, że jeśli wydał, to mi tak od razu powie. Będę go musiał przycisnąć do muru, żeby się przyznał”. I oboje wybuchliśmy gromkim śmiechem. □

FOTO-INTEGRACJE

Andrzej Baranowski

J. Olek — „medium: fotografia”



L. Mrozek — z cyklu „Nie identyfikować”

J. Bortkiewicz — z wystawy „Foto-stylki” w tle plakat J. J. Aleksyuna

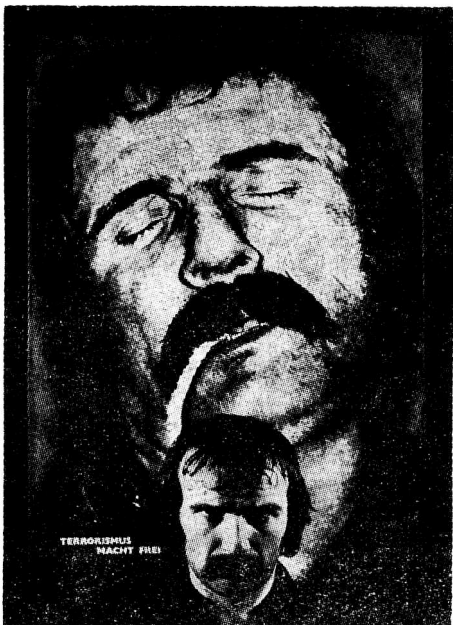


FOTO-INTEGRACJE, BYŁY JEDNYM z kierunków działań Wrocławskiej Galerii Fotografii, w ramach którego pokazywano wszelkiego rodzaju mariaże fotografii z innymi typami działań twórczych. Galeria ta prowadzona będzie przy niezmiennych założeniach do czerwca, po czym ulegnie daleko idącym modyfikacjom. Dotychczas Foto-integracje przedstawiły pięć różnych form działań. Prowokują one do wyciągnięcia wniosków uogólniających i wytyczających program na przyszłość.

Dwa pierwsze spotkania pt. „Inspiracje zwrotne” były zaprogramowane i prowadzone przez Andrzeja Saja. W pierwszym spotkaniu — pięć prac fotograficznych pięciu fotografików — inspirowało pięciu poetów z koła młodych przy ZLP. Fotograficy: Romuald Kutera, Lech Mrozek, Jerzy Olek, Wacław Ropiecki, Wojciech Zawadzki. Jan Strzdała, Zbigniew W. Śmigieński, Poeci: Janusz Gałek, Gabriel Kamiński, Kazimierz Woźnica. Krytycy: Marek Garbala, Maciej M. Ratajczak. Muzyka — Wanda Balcer.

Jak widać z powyższego zaangażowano sporo osób. „Inspiracje” posiadały ładną oprawę i niezaprzeczalnie widowiskowy charakter. Mimo dyskusji nie sformułowano żadnych konkretnych wniosków, bo też prowadzenie dyskusji przy tak liczonym audytorium (w dyskusji brała udział publiczność) było w zasadzie niemożliwe. Wydaje mi się, że problem, który poruszono na „Inspiracjach” od strony formalnej jest już wyeksplloatowany. Uświadomiła mi to właśnie impreza prowadzona przez Andrzeja Saja. Najbardziej standardowe połączenia poezji i fotografii oglądaliśmy w wielu pismach, wyrażają się one niezmiennym układem — tekst, obok zdjęcie. Najlepiej jest wtedy, gdy między poezją a „utrwalaczem rzeczywistości” istnieje semantyczna więź, rodzi się wtedy inspiracja zwrotna. Spójność taka, zarówno w pierwszym jak i w drugim spotkaniu w wielu wypadkach uzyskano.

Drugie spotkanie było lustrzanym odbiciem pierwszego, poeci: Urszula Benka, Marianna Bocian, Stanisław Bereś, Maciej M. Ratajczak i Andrzej Saj, inspirowali swoją twórczością fotogra-

fików: Andrzeja Baranowskiego, Alka Figurę, Jacka Lalaka, Józefa Liebersbacha i Andrzeja Rutynę. Wzięli również udział krytycy: Jerzy Olek i Andrzej Więckowski. Dwa pierwsze spotkania, mimo że nie wniosły nic nowego, to znakomicie sprawdziły pewien układ, a właściwie jego działanie w dwóch zasadniczych kierunkach. Ujawniły również jego słabość i uniwersalność. Słabość tkwi w niezmienności, a uniwersalność w praktyczności, prostocie i sile wyrazu. „Inspiracje zwrotne” sprawdziły obszar od dawna już eksploatowany, a stając na jego szczycie nieodwołalnie go zamknęły.

Pozostałe spektakle odbywające się pod znakiem Foto-integracji, mimo iż wprowadzały pewne nowe elementy, to były jedynie ciekawsze od strony emocjonalno-trześciowej.

W następnym z kolei spektaklu pt. „Małe miasteczko” zorganizowanym przez niżej podpisanego, wzięli udział: Ewa Kuczyńska — recytacja, Jacek Jędras — opracowanie dźwiękowe, Krzysztof Janicki — poezja i Andrzej Baranowski — fotografia. Forma w moim spektaklu została całkowicie podporządkowana treści, mimo iż pewne elementy posiadały autonomiczne wartości. Myślę tu o przeźroczach, które pokazywałem w konwencji kolorowych zdjęć od małego do olbrzymich rozmiarów, przy czym jeden rzutnik ekspozował jedno zdjęcie.

Jacek Lalak w swych „Maskach” połączył fragment autentycznej sztuki teatralnej, odgrywanej w galerii przez aktorów Teatru Polskiego z otwarciem wystawy fotograficznej, poświęconej tymże właśnie aktorom. Podobne było również działanie Alka Figurę, aczkolwiek w finale dające zupełnie inny efekt. Dwie rzeczywistości — fotograficzna i realna — nałożyły się, tworząc obrazy o dużym ładunku emocjonalnym i powodując zmysłowe zaburzenia spostrzegania.

Wszystkie te spektakle były nieco chaotyczną projekcją różnych pomysłów, nie prowadzącą do konkretnych wniosków. Przekazały jedynie pewien ładunek treści emocjonalnych. Nie znaczy to, że działalność ta była bezcelowa, należy ją potraktować jako rozpoznawanie wstępne jednych obszarów, a zamknięcie innych.



w stronę konformizmu
czyli

The Rolling Stones

Tomasz Surmiak

CIEMNOŚĆ, KILKA POŚPIESZNYCH GŁOSÓW. Potem krótkie, pojedyncze bombardowanie wstępu, śmigające w ciemności do przodu i do tyłu. ŚWIATŁA. I Boże, zawodzenie całego pieprzonego wszechświata.

Gdy otwierasz oczy on już tam jest. W upalnym słońcu. Oślepiający blask. Rock and roll. Wije się jak motyl przybity szpilką. Byk z motylimi skrzydłami. To babilońskie bóstwo, to gwiazda, to Mick Jagger”.

W taki sposób zaczyna się książka J Marksa o Micku Jaggerze — jednej z najbardziej fascynujących postaci muzyki rockowej. W tej chwili w Polsce większość osób interesujących się rockiem zdała się zapomnieć zespół The Rolling Stones i ich lidera. Wynika to prawdopodobnie z faktu, że ich jedyne dwa koncerty w naszym kraju odbyły się już bardzo dawno. A Rolling Stones — to przede wszystkim koncerty. Ich występy są największym majstersztykiem, wielkim popisem wspaniałego showmana — Micka Jaggera. Poza tym robią też doskonałą muzykę.

„Kiedy sześć łukowych świateł odbija się od owiniętego szarfą ciała Micka, momentalnie coś zaczyna się dziać. Rodzi się społeczność. Jagger staje się kruchą soczewką imponującej energii, delikatnym instrumentem, który odbierze zdumiewającą siłę publiczności i zwraca ją w oczyszczonym widoku. Dwadzieścia tysięcy ust rzyce w kierunku sceny”.

Rolling Stones zaczęli w roku 1962 grając w Crawdaddy Club w Richmond i tworzyli coś bardzo gwałtownego w typie rhythm and bluesa. Byli nieprzyjemni, niezdolni i wybijali najbardziej prymitywny i drażniący hałas z wszystkich dotychczasowych angielskich zespołów. Najważniejsze w nich było to, że w przeciwieństwie do Beat-

lesów nie wahali się, nie byli niezdeterminowani, ale stanowili wypracowany w szczegółach obraz, drażnili i nigdy się nie rozluźniali. Cały czas istniało jakieś napięcie, w stosunku ludzi do nich — dało się odczuć, że była szansa ich publicznego całopalenia.

Ich manager, Andrew Loog Oldham, wziął to wszystko, co było w nich ukryte i powiększył setki razy. Byli długowłosi, brzydzy i anarchiczni, Oldham pomnożył te cechy i stworzył z nich rzecz, która straszyla rodziców, rzecz, której rodzice nienawidzili. Cały czas popędzał ich, aby byli dziksi, wstrętniejsi, głupszy na wszelkie sposoby i oni byli tacy — przeklinali, drwili, warczeli i rozmyślnie wychodzili na kretynów. To była dobra psychologia: dzieci mogły zobaczyć ich po raz pierwszy i nie być co do nich pewne, ale kiedy słyszały swych rodziców, jak ci narzekali na tych plugawych, długowłosych kretynów, nagle nawracały się i identyfikowały ze Stonesami jak szalone.

Dominującą osobą w zespole był w owym czasie Brian Jones. Jego niekwestionowane przywództwo trwało do momentu, gdy Rolling Stones zaczęli zarabiać tyle pieniędzy, by warto było zacząć je kwestionować. Mick i Keith Richard razem z Oldhamem, zrobili zamach stanu i Brian nagle dowiedział się, że Rolling Stones nagrywają w Los Angeles płytę bez niego.

„Słuchajcie — wyraźnie powiedział Oldham — trudność polega na tym, że jest to pierwsza sesja nagraniowa, z którą mam do czynienia. Nic kompletnie nie wiem o muzyce, ale jestem pewien, że znam właściwy rodzaj komercyjnego brzmienia. Zagrajmy to na słuch i spróbujmy nie panikować. Pamiętajmy również, że mamy studio na trzy godziny”.

We wczesnej, rhythm and bluesowej

fazie byli dziko podniecający lecz również prymitywni, wtórni, ograniczeni i zapowiadali się jako krótkotrwałe szaleństwo. Ale potem, gdy sprawy zaczęły iść gorzej, Jagger i Richard nagle zerwali się i eksplodowali jako autorzy. Z nikąd poczęli wypuszczać monstra: Last Time, Get Off Of My Cloud, Satisfaction, Under My Thumb. Te utwory nie bazowały na melodii, teksty były istotne, choć często sloganowe. Liczyło się tylko brzmienie i morderczy nastrój jaki wytwarzało. Wielki hałas i zwariowana atmosfera. Naprawdę był to tylko rytm, miażdżący, rozbijający, docierający do publiczności i poruszający ją jak jakiś zadziwiający, spontaniczny, masowy ruch.

Najlepszą płytą Stonesów był prawdopodobnie singel Satisfaction. Najbardziej archetypiczną — Get Off Of My Cloud. Zgodnie z jej treścią Jagger mieszka w apartamencie na dziewięćdziesiątym dziewiątym piętrze i siedzi samotnie przy oknie, wyobrażając sobie, że świat stanął. Słucha płyt niewiarygodnie głośno, hałasuje, jak gdyby świat się kończył i nikt nie może go dosięgnąć, nikt nie może go ściszyć. Ludzie z dołu próbują go uspokoić, ale



on ich nie zauważa. Siedzi, słucha płyt, patrzy. Nie można go dotknąć. Jest na swojej chmurce.

Po krótkim kryzysie w latach 1966—1967 Stonesi powrócili do źródeł, do pierwszej agresji, w której zawsze byli dobrzy. Przeszli nawet poza agresję i pograżyli się w ciemność, gdzie napomykali o orgiach i szatańskich okropnościach, w utworach takich jak: Stray Cat Blues, Sympathy For The Devil, Let It Bleed, Tam, gdzie satanizm był wyrażony wprost, efekt był nudny, tak jak z uczniami, którzy są notorycznie niegrzeczni, jednakże tam, gdzie zło było jedynie zaznaczone, istniały momenty prawdziwego podniecenia.

„Romantyczni poeci zajmowali się takimi sprawami. Nasze pokolenie buntuje się tak samo. Nastajemy na przeżywanie prawdziwych doświadczeń. Wyzywamy szaleństwo, by je odkryć. Przyjmujemy napoje, które Bóg-wie-corobią z naszymi mózgami. Badamy wszystkie ciemne kąty i szukamy ostatecznego szaleńca, który zniesie więcej, niż my sami możemy znieść. I tu właśnie wkracza Mick Jagger”.

Najlepszą, najważniejszą sprawą w

Stonesach, było ich poczucie niezależności i bezkompromisowości. Byli oni sami w sobie przemysłem młodzieżowym, samowystarczalnym i świat dorosłych nie miał żadnego znaczenia. Ich kariera oznaczała, że nie trzeba już było mięknąć, aby osiągnąć sukces. Nie trzeba było być ładnym, nie musiało się pięknie uśmiechać, bajdurzyć, ani podlizywać się — starsi ludzie mogli kogoś nienawidzić na wszystkie możliwe sposoby, a ten ktoś mógł mimo tego zarobić sobie milion dolarów.

W karierze Rolling Stonesów były też złe lata: 66—67. Wtedy po prostu spowszednieli. Zostali zaakceptowani, a jednocześnie nadeszli nowi wykonawcy, którzy prześcignęli ich w bezczelności i gwałtowności oraz spowodowali, że Stonesi wyglądali potulnie. Nagle, gdy Stonesi wychodzili ze swoich show na estradę, wyglądali przestarzałe i nieco komicznie — a brykanie Jaggera dawało nawet występom pewien sty-

lowy urok. Oto jak szybka jest kultura pop: anarchiści w jednym roku są starymi pierdołami w następnym.

Rolling Stones wrócili na piedestał supergwiazd już nie jako anarchiści i burzyciele, ale jako artyści muzyki rockowej. W roku 1970 odbyli tournée po Ameryce, podczas którego z łatwością ponownie pokazali, że są na scenie najprzedniejszym zespołem rock and rollowym. Wydali wiele płyt — wszystkie tryskające wielką energią. Ale ich obraz jest teraz zupełnie inny.

Mick Jagger grzecznie przedzierzgał się w międzynarodową osobistość do plotkowania, będąc fotografowanym za każdym razem gdy wsiadał lub wysiadał z samolotu. Widziano go w teatrze i operze. Zdobywał przyjaciół w bardzo wysokich kręgach. W końcu ożenił się w St Tropez i wydał przyjęcie dla setek pięknych gości, światowej prasy i śmietanki instytucji Rocka. Oczywiście, czasami przypomina się, że

Jagger zaczął jako partyzant. Kiedyś wydawał się niebezpieczny, był groźbą dla wszystkich szarych i autorytatywnych rzeczy. Ale jest to już bardzo odległe. Bez względu na to, jak obecnie bryka i pozuje, widać, że jest łagodny i bezpieczny. Nie ma żadnej szansy, by chciał teraz cokolwiek zmieniać przy pomocy swego wpływu lub pieniędzy. W 1967 Stonesi planowali porozumienie z firmą Beatlesów „Apple”, aby walczyć z egzystującą ówczesnie strukturą showbiznesu i by zbudować alternatywy dla istniejącego porządku. Teraz wszystko zostało zapomniane. Zamiast tego, na zabawę do St Tropez przybyli członkowie rodzin królewskich.

TOMASZ SURMIAK

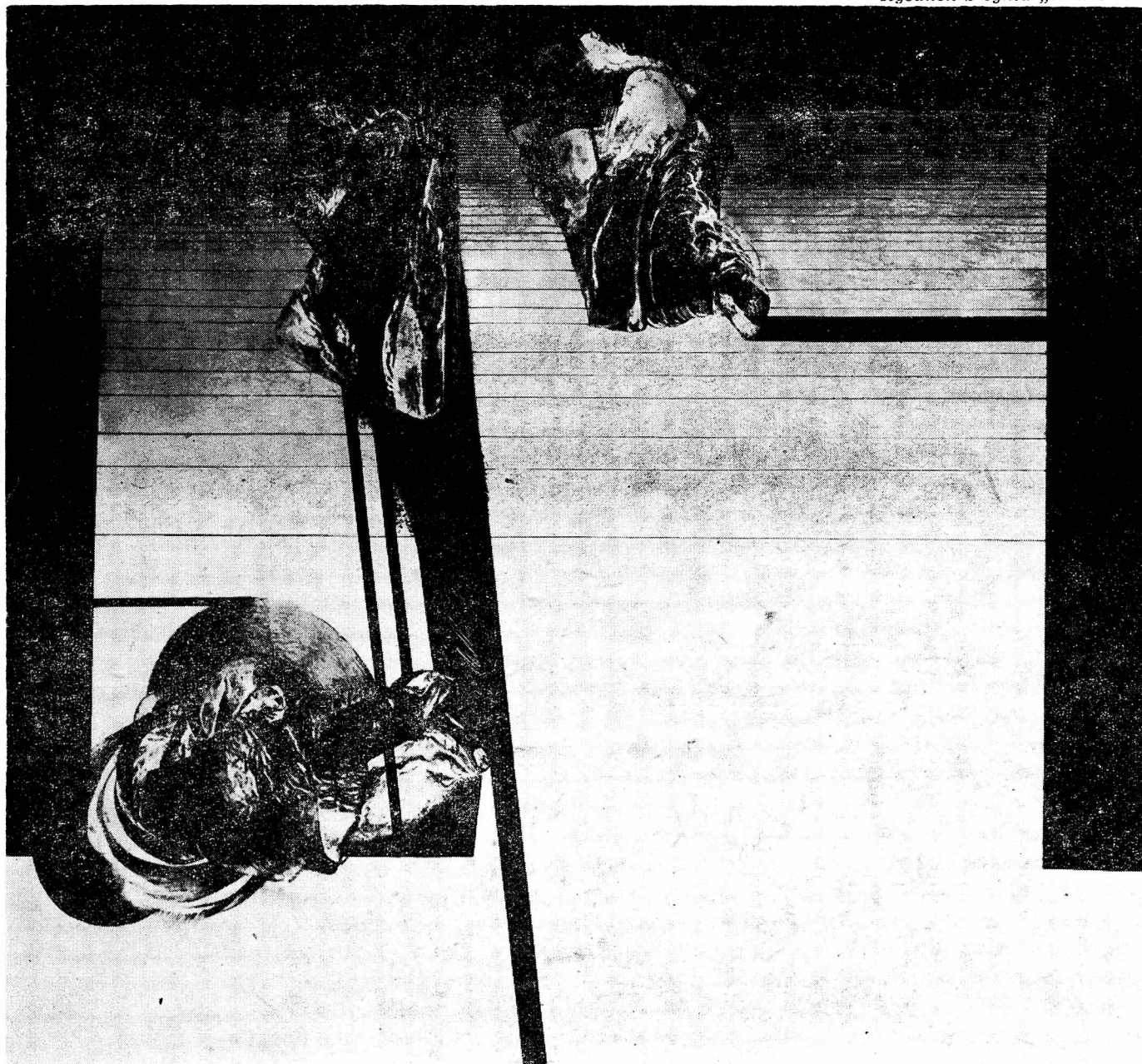
Wszystkie cytaty pochodzą z książki J. Marksa „Mick Jagger. The singer, not the song” Abacus, Londyn 1973.

Sigma prezentuje

JAN KONDRATOWICZ

Absolwent Wrocławskiej Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych. Od 1967 roku brał udział w kilkudziesięciu wystawach malarstwa i rysunku w kraju i zagranicą.

Rysunek z cyklu „Wraki” VIII



Kolec czerwonej róży

Jeśli doskwiera ci miłość
to znak że będziesz kochać
Samotność teraz jedynym dla ciebie lekarstwem
bylebys nie zatruwał najbliższym otoczenia
Bądź obcy u siebie
i nigdy sobą (przynajmniej na razie)
Nie patrz w serce a nadstuchuj
pracy własnych soków trawiennych
(skłonność ku innym często odpycha —
lepiej wybrać boleśniejsze rozwiązanie)
Tak do chwili
żebyś nie oślepl (uczucie miłości poraża)
kiedy spostrzeżesz
że lepsze to
aniżeli uklucie różanym kolcem w oko

Wystarczy że...

Wystarczy wziąć ze stanika
ideę parzystości
od zamka błyskawicznego
szybkość zabliźniania
biblioteka może posłużyć
jako rezerwuuar mocy
Czy wystarczy postawić pytańnik
obok „masz rację”

Przykład dotyczy

Osoba: święty rajfur
Napoleon-hydraulik
przechadzka po pustelni
analogia sprowadza się
na pierwsze piętro abstrakcji
do wyjazdu na wakacje
zużycia się
bez poczucia winy
w agonii sensów

Hetka - pętelka

Nie wierzę ci ani na słowo daję
ufam
twoim fałszerstwom
których prawdziwość
jest kłamstwem tak
oczywistym przeinaczeniem
wszystkiego: światła, róży
karkołomnych tradycji i wzlotów
wątpliwego autoramentu
dama —
demaskacja idealnej nijakości
niezbędna jak powietrze
dla pętli

odstąpiwszy het na krok
z ulgą
z całą odrazą
pokochałem ten wstręt
i lęk

Łysa pała

NAWET NIE BARDZO BYŁEM ZDZIWIWIONY, GDY rano spojrziałem w lustro i zauważyłem, iż jestem bez włosów. Kiedyś przecież i tak musiałbym wyłysieć — a że stało się to nagle i od razu — to i lepiej. Powolne łysienie, systematyczne wypadanie włosów powoduje bardzo nieprzyjemne stany frustracyjne. Człowiek zbyt boleśnie odczuwa to, że bezpowrotnie wyzbywa się jednego z zasadniczych atrybutów młodości, wpada w panikę, przeżywa przykre stany załamania, irytacji, rezygnacji. A tak stało się to od razu i już po kłopotach. Włosy mam z głowy.

Pierwsze, co zrobiłem, to wyrzuciłem zbędny już teraz grzebień. Przełamałem na pół i wrzuciłem do kubła na śmieci. Wyrzuciłem też pozostałe pół butelki szamponu żeńszeniowego — teraz mogę już używać wyłącznie mydła, przez co zaoszczędzę 14 złotych miesięcznie. Trochę mnie martwi różowy kolor łysiny, silnie kontrastujący z już opalonym czołem i karkiem. Ale — jest przecież lato, a za kilka dni pojedę nad morze, to opalę sobie łysinę na brązowo. Czaszkę mam nawet dość kształtną, tylko w stosunku do wzrostu chyba zbyt małą. Może teraz, kiedy już nie jest osłonięta włosami, trochę się rozrośnie? Więcej dopływu słońca, więcej witaminy D... Mogłaby się trochę rozrosnąć. Tak, jest proporcjonalnie stanowczo za mała... i za różowa. A też i skóra na niej jakaś taka zmięta i pomarszczona.

Poszedłem do łazienki i dokładnie umyłem łysinę mydłem, splukałem na przemian ciepłą i zimną wodą, a potem do sucha wytarłem frottowym ręcznikiem. Wróciłem do pokoju i ponownie spojrziałem w lustro. Już lepiej. Wprawdzie nadal różowa — teraz nawet rubinowo-różowa — ale wrażenie zmięcia i pomarszczenia zupełnie zniknęło. Wziąłem trochę kremu nivea (tylko taki używam) i natarłem sobie nim twarz i łysinę. Pała z początku trochę błyszczała, ale po chwili nabrała matowej, aksamitnej faktury.

Dobrze, że dziś niedziela, więc będę miał trochę czasu na oswojenie się z nowym wyglądem. Wyjdę na spacer i sprawdzę jakie wrażenie wywrze mój nowy wygląd na ludziach obcych, a może też na znajomych — jeśli oczywiście kogoś znajomego spotkam. W ten sposób uniknę zbyt gwałtownego zderzenia z zapewne emocjonalnymi reakcjami kolegów i koleżanek w biurze.

Alóż nie! Na pewno będą myśleli, że sobie zażartowałem i kazałem się fryzjerowi ostrzyć i ogolić na łysą pałę. Pamiętam, iż wtedy, kiedy przyszedłem do biura bez zębów — też któregoś nocy wypadły mi co do jednego — sądzili, że po prostu zapomniałem włożyć sztuczne szczęki. Może tym razem też pomyślą tylko tyle, że zapomniałem nałożyć perukę? Albo wtedy, kiedy przez noc wyrosła mi długa broda? cały dzień szarpali mnie za nią, aby w końcu tylko stwierdzić, że jest wyjątkowo dobrze przytwierdzona, że wygląda jak prawdziwa i jedynie interesowało ich, jakiego lepiszcza użyłem do jej przyklejenia? I jeszcze to ich ciekawiło, czy broda jest krajowa czy zagraniczna, a jeśli zagraniczna, to czy od naszej zagranicy, czy tej z zachodu? Ludzie dzisiaj na ogół bardzo rzeczowo reagują na różne gwałtowne przemiany czy mutacje — chociaż dość swojskie. W dzisiejszym, stechnicyzowanym świecie, w którym poniekąd zaciera się granica między tym co sztuczne a co naturalne; między tym, co jest zjawiskiem naukowo już do-
wiedzionym, a takimi zjawiskami tajemniczymi, które (jak

mniemają) prędzej czy później i tak przez naukę zostaną wyjaśnione — wydaje się, że ludzie zbytnio już niczemu się nie dziwią, chociaż czasami zdarza im się wpadać w dość komiczne pułapki własnej, „unaukowionej” dociekliwości.

Kiedy pewnego dnia starszy referent Marchewka przyszedł do biura z całą twarzą w rubinowe ciapki, to do śniadania o niczym innym nie mówili, tylko o tym, jaka zanieczyszczona jest teraz woda, jakie trujące powietrze, co różnym ich znajomym powyskakiwało na skórze po kąpieli w basenie pływackim czy zgoła w wannie, że tak strasznie od tych syntetyków rozpleniły się przeróżne uczulenia i alergie, że w ogóle — to już chyba koniec świata. Patrzyli na rubinowe ciapki na twarzy starszego referenta Marchewki — i mówili, i gadali. Nikt nawet nie próbował ustalić prawdziwego pochodzenia tych ciapek, a przyczyna była bardzo prozaiczna i wyjaśniła się zaraz po śniadaniu, kiedy starszy referent Marchewka wrócił z toalety... już bez ciapek na twarzy. Po prostu żona kazała mu przed pójściem do pracy utrząść buraki na obiednią ćwikłę (ona przecież nie może niszczyć sobie rąk! — tak powiedział starszy referent). Spieszył się bardzo, bo to już czas do biura — dyscyplina pracy, lista obecności, po premii, upomnienie, nagana — i w tym pośpiechu pociąpnął sobie facjatę sokiem buraczanym. Ręce zdążył umyć, ale w lustro już nie spojrział — i tak się spóźnił: cztery minuty. Tak. Ludzie już niczemu się nie dziwią, ale od razu wszystko sobie tłumaczą naukowo, zgodnie z tym co czytają w gazetach, słyszą w radiu i widzą w telewizji. Zjawiska tajemne nabierają racjonalnych wymiarów, zwykle przypadki urastają do rangi problemów, wymagających naukowej wykładni. Żurnaliści i literaci zupełnie pomieszały ludziom w głowach.

Miałem dzisiaj pójść na zebranie filatelistów, ale chyba zrezygnuję. Byłem tam w ubiegłą niedzielę, widzieli mnie z dość jeszcze bujną czupryną — a tu nagle łysa pała. Chociaż to bardzo wątpliwe, aby jakiś rasowy filatelista zwrócił uwagę na tak nieistotną zmianę zewnętrzną. Filateści mają zupełnie inne problemy: od jakiegoś czasu trwa run i stąd gorączkowe polowanie na tzw. „klasyki”. Wszyscy uwzięli się na te biedne, pczółkie, ząbkowane lub cięte staruszki i tylko węższą za znaczkami emitowanymi przed 1900 rokiem. Na obrazkowe nowinki, którymi prawie wszystkie zarządy pocztowe na świecie tak hojnie obdarzają swoich niezawodnych — jak sądzą — odbiorców, rasowy filatelista patrzy z pobłażliwą pogardą, zostawiając ową wielkoformatową pstrokaciznę dzieciom, młodzieży i nielicznym kolekcjonerom. Co może więc poważnego filatelistę obchodzić moja różowa łysina... dwa brakujące ząbki w polskiej

„jedynce” — to jest poważny, wprost metafizyczny problem, a nie taki drobiazg, że ktoś tam nagle wyłysiał.

No, teraz już całkiem przyzwocio. Rubinowe zabarwienie, spowodowane zapewne zbyt mocnym wycieraniem łysiny ręcznikiem, zupełnie ustąpiło. Czaszka jest teraz gładka, jednolicie różowa o matowej, aksamitnej powierzchni.

Wyjąłem ze szklanki obie, ufundowane mi przez ubezpieczalnie społeczną szczęki: górną i dolną, przytwierdziłem do dziąseł i podniebienia — bardzo dobrze mi je zrobili, bo wielu znajomych zupełnie nie dostrzegło momentu wymiany uzębienia indywidualnego na społeczne.

Zdjąłem pizamę i ubrałem się niedzielnie (te mieszczańskie nawyki, wyniesione z domu rodzinnego), raz jeszcze spojrziałem w lustro, włożyłem machinalnie do kieszeni marynarki kopertę, która leżała obok i wyszedłem z mieszkania.

W empiku wzięli mnie za nowego emeryta. Nigdy dotąd emerytki nie dosiadały się do stolika, przy którym z nawyku siadywałem i to od lat. Zazwyczaj o pozwolenie „dosiedzenia się” pytali ludzie w średnim wieku, czasem dziewczęta, które uznały, że czas najwyższy ku temu, aby rozejrzeć się za jakimś poważnym kandydatem na męża, rzadziej młodzież. Ale emerytki nigdy. A dziś, mimo że wolnych stolików było pod dostatkiem, aż dwie — i to takie, które z zasady nigdy nie siadywały razem przy jednym stoliku. Emeryci płci męskiej — kiedy wchodziłem — też patrzyli i uśmiechali się do mnie tak przymiłnie, jakby chcieli przywitać w swoim gronie nowego towarzysza do pogawędki przy kawie i drzemce nad gazetą. Czyżby mnie nie poznawali? Przejechałem dłonią od czoła po nasadę łysej czaszki, wyszczerzyłem swoje sztuczne zęby w fałszywym uśmiechu, obie emerytki, siedzące po mojej prawej i lewej stronie też mi pokazały swoje syntetyczne dentury — i było znacznie i miło.

Kelnerka podała mi małą kawę z dwiema kostkami cukru — a zatem mnie poznała, bo w innym wypadku przyniosłaby z jedną kostką, jak wszystkim, zgodnie z normą. Kiedy odeszła, emerytki próbowały coś do mnie mówić, ale zdążyłem w porę wyjąć z kieszeni marynarki gazetę (wypadła koperta, więc szybko ją podniosłem z podłogi i włożyłem z powrotem) i ukryć się za nią. Dosłyszałem tylko jak jedna z nich nadmieniała: „pan mimo swoich lat, bardzo młodo wygląda i kto by pomyślał!”, „jak ten czas leci” — dodała druga i siorbnęła kawę.

Znad gazety spostrzegłem znajomego który rozglądał się, szukając wzrokiem zapewne kogoś, do kogo mógłby się dostać. Uchodził od co najmniej dwudziestu lat za młodego, dobrze się zapowiadającego poetę. Widziałem przed kilku dniami w jakiejś księgarskiej witrynie jego siódmy czy ósmy, dobrze się zapowiadający tomik wierszy... Acha — wystaje mu z kieszeni tak zmyślnie, że najbardziej rzuca się w oczy imię i nazwisko autora. Kiedy usiadzie, to wyjmie broszurę z kieszeni i położy na stoliku — tak, niby mimochodem... „a tak, moje nowe dziełko... nie warto tego czytać” — i podsunie jakimś tak precyzyjnym ruchem, że nie wypada nie wziąć tego do ręki, aby przynajmniej przekartkować.

Wypatrzył mnie. Poznał po łysinie czy co? Przecież znad gazety co najwyżej czubek łysiny mógł dostrzec. „Cześć — cześć”. I już *Balwan rozbitego czasu* wyładował na stoliku. Emerytki siorb, siorb. „To pana?”. „E, drobiazg... nie warto tego nawet brać do ręki”. Pech. Chcąc napić się kawy, a przy tym nie odkładać gazety, potraściłem filiżankę i kawa... Zdążył skubaniec. Tylko róg tomiku lekko utapał się w lepkim brzoje. „Tak. W pewnym wieku zaczyna zawodzić precyzja ruchów” — powiedziała emerytka z prawej, elokwentna właścicielka przedwojennej pensji dla dziewcząt z niezamożnych domów. Pachnąca chusteczką strzepuje lepkie kropelki kawy ze samodziłowej spódnicy na podłogę. „Starość nie radość” — dodała emerytka z lewej, mało elokwentna była właścicielka zakładu fryzjerskiego, w której stronę stół nie był nachylony. Kelnerka wytarła ścierką z gazy szklany blat. „Tak, nawet nie warto tego brać do ręki” — dobrze zapowiadający się sprawdził dłonią blat stolika, stwierdził widocznie, że już się nie klei, więc położył *Balwana* przede mną, a zaraz potem przejechał swoją dłonią przez głowę, jakby chciał się upewnić, czy jego włosy są nadal na swoim rodzonym miejscu. Przekartkowałem broszurę i położyłem przed emerytką z prawej. Przekartkowała i położyła przed emerytką z lewej. Przekartkowała i położyła przed poetą, okładką od spodu. Dobrze zapowiadający się poeta odwrócił od razu tomik okładką do góry. „Przyznacie państwo, że tytuł jest szczególnie adekwatny do zawartości tomu. Do ostatniej chwili się wahałem. Początkowo chciałem zatytułować: *Bóg rozbitego czasu* — ale państwo rozumieją... mogłoby to zostać niewłaściwie odczytane, a poza tym mogłoby mieć kłopoty z cenzurą — państwo rozumieją... Wolałem się ubezpieczyć — skierować interpretację raczej w stronę słowiańszczyzny. Jak państwo zapewne wiedzą, dawni słowianie czcili bałwany — i dzięki



temu uzyskałem znakomitą klamrę metaforyczną: bałwan — czas; a to co między bałwanem i czasem — to rozbita teraźniejszość. Bóg zatem jest zawarty implícite w tytule, chociaż nie ujawniony bezpośrednio. Państwo rozumieją?”

Wpadające przez okno promienie słońca zapewne odbijają się od mojej lysej czaszki. Kiedyś bardzo mnie śmieszyły te słoneczne igraszki na błyszczących, wypolerowanych łysinach starszych panów. „Pan od dawna na emeryturze?” — zapytała mnie emerytka-fryzjerka. „Mój mąż — Panie świeć nad jego duszą — trzy lata temu opuścił ten padół leż”. Oferta matrymonialna? No, no. „Te nowoczesne dziewczęta zupełnie utraciły swój wdzięk i dyskretny urok; moje dziewczęta były dosłownie rozchwytywane na pniu... zapewniam panów — na pniu! Nas zupełnie inaczej przygotowywano do życia. Pańska małżonka” (to do mnie) „zapewne otrzymała jeszcze bardzo staranne i godziwe wychowanie?” Jest ostrożniejsza — chce się wpięć upewnić co do mojego stanu cywilnego. Dobrze zapowiadający się poeta sam kartkował swój tomik.

Dopiłem resztę niewylanej kawy. „Dziękuję za miłą pogawędkę, ale na mnie już czas”.

Udają skubańcy, że niby wszystko w porządku, nie widzą nic dziwnego w tym, że nagle wylisiałem. Są taktowni. Przy garbatych nie mówi się o wielbłędach. *Bałwan rozbitego czasu* — kartkując tomik, od razu — jak na ironię — natrafiłem na takie dwie złośliwe linijki:

bo włosy mam z głowy a zęby niezgrzyżliwe

zbyt wcześniej pozbawiony rwania i zgrzytania

Poszedłem do parku. Liście drzew już utraciły swoją wiosenną soczystość — niebawem pokryją się żółtymi smugami i plamkami. Rozbita teraźniejszość. Sięgając po chusteczkę, namacałem w kieszeni marynarki kopertę. Ach tak. Przecież włożyłem ją dziś rano... wczoraj w biurze wręczył mi ją kierownik, a ja dotąd do niej nie zajrzałem. Żywy szelest liści; martwy szelest papieru. No tak. Przypominają mi, że za trzy miesiące ukończę sześćdziesiąt pięć lat. Wyraźnie czuję, jak marszczy mi się skóra na twarzy.

Usiadłem na ławce. Obok jakiś staruszek rysował laską na żwirze kółka, trójkąty, kwadraty. Chyba w tym roku już nie pojedę nad morze.

Maj — wrzesień 1975



Robert Gutowski

Fot. Z. TRZCIŃSKI

Kto sypia z KIMŚ, ten nie grzeszy.



Prawo Antybiadesa: Człowiek traci na gniocie życiowym tyle, ile wypiera z szarej rzeczywistości swoim śmiechem.



Komunikat dla pieszych: Odszorstniajmy (wyraz lansowany ostatnio przez PR) drogi od człowieka do człowieka!



Są Ikarzy, którzy bez solidnego kopa nie pofruną. Ikarzy z rozrusznikiem.



Zastyszane: „Dawniej jak było tak było, ale zawsze było. Dzisiaj zaś jak już jest, to zanim człowiek zdąży — już tylko wiadomo, że było”.



Próbuje się tu i ówdzie przedstawiać jako wysoce humanistyczną — zasadę swobody w zmienianiu zdania... innym.



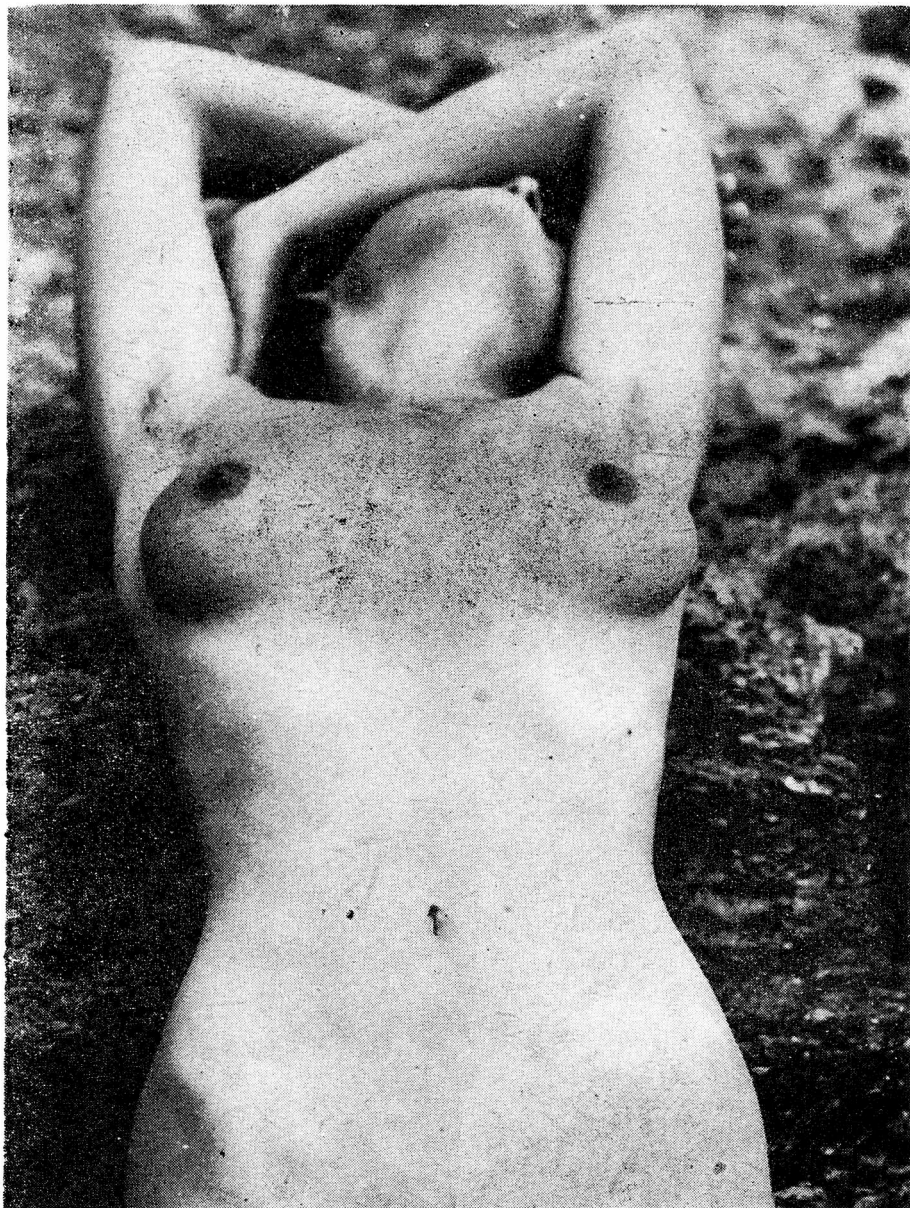
Więcej serca! — nawoływali przywódcy lud bijący głowami w mur.



Rzeczywistość na etacie. Ma obowiązek nieprzerwanie potwierdzać słuszność przyjętych przez nich założeń.



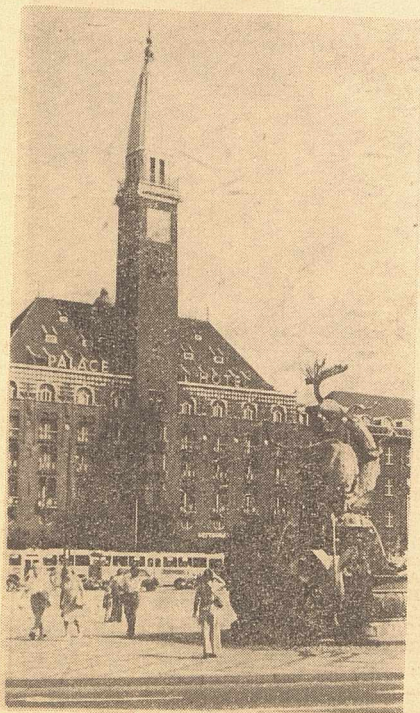
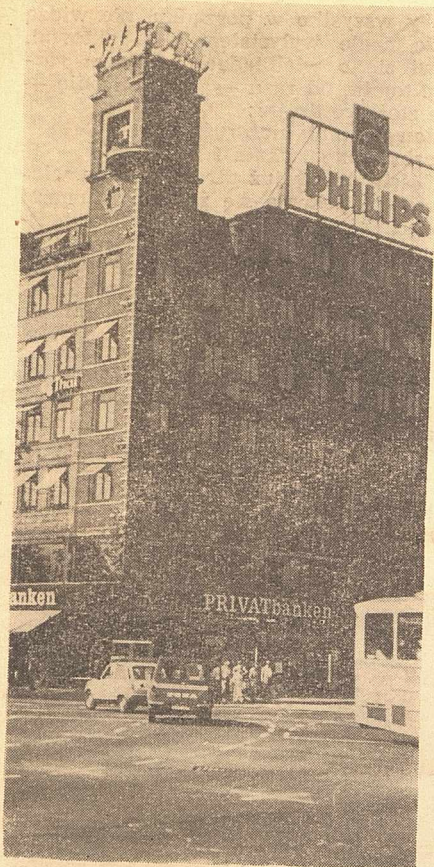
Ogłoszenie: Salon Usług Rozjemczych i Pojednawczych świadczy usługi dla ludności. U nas pogodzisz się nawet z losem! (w godzinach 9—15,30).



Na okładce:

Fot. Jana Bachrija

Wydaje Politechnika Wrocławska. Adres Redakcji: Wrocław, ul. Z. Janiszewskiego 14; pok. 14/15, tel. 202-240 (w. 22-40); poczta wewnętrzna: P-9(S). Redaguje zespół w składzie: JERZY GIRULSKI (redaktor naczelny), MACIEJ KAŁUSZYŃSKI, ROMAN KARPINSKI, MAŁGORZATA KRAMKOWSKA, JAN KUROWICKI (z-ca redaktora naczelnego), MARIA MARCOLLA (sekretarz redakcji), MARIA PLUTA, ANDRZEJ SAJ, STANISŁAW SEMICZEK-SZULC, MAREK J. SZEWCZYK, TOMASZ WIELICKI. Opracowanie graficzne: STANISŁAW RYSZARD KORTYKA przy współpracy ANDRZEJA KLIMCZAKA-DOBRZANIECKIEGO. Redaktor techniczny: HILARY NAWOTKA.



KOPENHAGA
w obiektywie
Zbigniewa
Trzcińskiego